BOLESŁAW LEŚMIAN

SAD ROZSTAJNY



POD ZNAKIEM POETÓW



WYDAWNICTWO JAKÓBA MORTKOWICZA

BOLESŁAW LEŚMIAN

SAD ROZSTAJNY

WARSZAWA MCMXII J. MORTKOWICZ

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SKI

PIEŚNI MIMOWOLNE

WIECZOREM.

Mrok się gęstwi po sadzie, ziemny powiał chłód,
Zda się, iż dal zbłąkana podchodzi do wrót...
Wiatr się zsunął ze strzechy na gałęzie drzew,—
Czy on we mnie tak śpiewa? Widzę poprzez śpiew,
Jak księżyc wschodzi nad borem!

W podwórzu, dokąd zajrzał z poza ciemnych brzóz,
Rozwidniła się studnia i samotny wóz,
Między szprychy znienacka oświetlonych kół
Duch, drogi nieznający, na nocleg się wsnuł
Wieczorem, późnym wieczorem.

Przez szyby moich okien, zapatrzonych w staw,
Blask upada i tli się wśród wilgotnych traw.
W dłoni mojej zerwany doumiera wrzos.
Jakże dziwno wymówić własne imię w głos
Wieczorem, późnym wieczorem!...

Cień mój, co we dnie kładł się na złocisty łan,
Nocą pragnie zapełnić pustkę moich ścian.
Do szyb, znikąd zjawione, lgną puszyste ćmy, —
Staw posrebrniał i widzi inaczej, niż my,
Jak księżyc wschodzi nad borem...

RÓŻA.

Czym purpurowe maki
Na ciemną rzucał drogę?
Sen miałem, ale — jaki? —
Przypomnieć już nie mogę.

Twojeż to były usta?
Mojeż to były dłonie?
Głąb' sadu mego — pusta,
We wrotach — księżyc płonie.

Dni się za dniami dłużą,
Noce — w jeziorach witam...
Kiedy ty kwitniesz, różo?
— »Ja nigdy nie zakwitam«...

— »Ja nigdy nie zakwitam«...
Twójże to głos, o, różo?
Słowo po słowie chwytam,
Dni się za dniami dłużą...

NOC ZIMOWA.

Skrzeń tajemnica,
Rozzłoceń mus!
We mgle księżyca
Jarzy się mróz!

Okruchy śniegu
Siecią swych fal
Zasnuły w biegu
Bezbronną dal.

Gmatwając loty,
Tamując dech, —
Obsiadły płoty,
Jak siwy mech.

Do szyb się garną,
Jak białe ćmy,
Tchnąc w izbę parną:
»To — my! To — my!«

Z karczmy, w zakrzepły
Rozwartej świat,
Dym bucha ciepły,
I blask i czad!

Zaprzepaszczony
W ciemni bez dróg —
Drzewom przez szrony
Złoci się — Bóg.

Sad wśród topieli
Śniegowych głusz
W śmierci się bieli
Bez róż — bez zórz!

W swej pysze pawiej
Łez tłumiąc znój,
Wśród śnieżnych zawiej
Sen kroczy mój...

USTA I OCZY.

Znam tyle twoich pieszczot!
Lecz, gdy dzień na zmroczu
Błyśnie gwiazdą, wspominam tę jedną — bez słów,
Co każe ci ustami szukać moich oczu...
Tak mnie żegnasz zazwyczaj, nim powrócę znów.

Czemu właśnie w tej chwili, gdy odejść mi pora,
Pieścisz oczy, nim spojrzą w czar lasów i łąk?...
Bywa tak: świt się budzi od strony jeziora,
Nagląc nas do rozplotu snem zagrzanych rąk...

O szyby — jeszcze chłodne — uderza pozłotą
Nagły z nieba na ziemię świateł zlot i spust, —
Usta twe — na mych oczach! Co chcesz tą pieszczotą
Powiedzieć?
Mów — lecz zmyślnych nie odrywaj ust!

W SŁOŃCU.

Jastrzębi śledząc lot,
Jezioro ciszę wdycha.
Zwiesza się po za płot
Spylona rozwalicha.

W kałuży, śladem kół
Porysowanej w żłoby,
Tkwi obłok, brzozy pół
I gęsi rdzawe dzioby.

Od sztachet, snując kurz
Na trawy i na chwasty,
Słońcem pocięty wzdłuż
Upada cień pasiasty...

Trzeba mi grodzić sad,
Trzeba mi zboże młócić!
Przyszedłem na ten świat —
I nie chcę go porzucić!...

NIEBO PRZYĆMIONE.

Niebo przyćmione, niebo wieczorne
Samochcąc płynie przez moje oczy...
Piersi bezsenne i bezoporne
Pieszczota zmierzchu nuży i tłoczy.

O, teraz snuć się cieniem po gaju,
Ducha wśród sosen w szkarłat rozjarzyć,
U twojej wrótni, na twym rozstaju
Samemu sobie — snem się wydarzyć!

Na skroń kalinom, ujrzanym w dali,
Paść złotym kurzem w purpur pożodze, —
I nie odróżnić ust twych korali
Od owych kalin na owej drodze!

I nie odróżnić twoich warkoczy
Od brzóz, weśnionych w głębie jeziorne...
Samochcąc płynie przez moje oczy
Niebo przyćmione, niebo wieczorne...

W POŁUDNIE.

Wzdłuż chat, ponad strzechami
Południa żar zawzięty
Widomie drga i mami
Niepochwytnymi pręty...

Wpośród zielonych muraw
Schną rosy ciemne ślady,
Samotnej studni żóraw
Patrzy w dalekie sady.

Na przeciwległe wzgórze
Głóg wpełzły i berberys
Poprzez słoneczne kurze
Gałęzi rzuca przerys.

Południe samo siebie
Roztrwania w oman senny...
Niebem prześwieca w niebie
Przezroczy księżyc dzienny.

Znienacka w drzew gęstwinie
Wiśnia się płoni smagle, —
O, teraz, w tej godzinie
Pokochać — kogoś — nagle!...

Ten znój z błękitem w zmowie
Dech piersiom tak utrudnia!
Zachciało się mej głowie
Śnić miłość wśród południa!

NADAREMNOŚĆ.

W znoju słońca mozolnie razem z ciszą dzwoni
Rozgrzanych płotów chróst.
Pocałunek sam siebie składa mi na skroni,
Sam — bez pomocy ust...

Z rozwalonej stodoły brzmi niebu przez szpary
Jaskółek płacz i śmiech, —
Do pokoju, spłowiałe wzdymając kotary,
Wrywa się wiosny dech!

Boże, coś pod mem oknem na czarną godzinę
Wonny rozkwiecił bez,
Przebacz, że wbrew twej wiedzy i przed czasem ginę
Z woli mych własnych łez!...

O ZMIERZCHU.

Słońce zgasło. O, jakże zwinne są i młode
Zmierzchy czerwca, nim w północ głuchą się przesilą!
Po wargach twoich dłonią, kształt czującą, wiodę,
Jak po koralach, morzu wydartych przed chwilą...

Spleć stopy, przymknij oczy — i nazwij to cudem,
Żeśmy razem, dalecy od dziennego znoju!
Jakże łatwo zwiać szczęście, z takim oto trudem
Rozniecone w ciemnościach twojego pokoju!

Łatwiej, niż rozpleść złotą warkocza zawiłość,
Niepojętą dla zmierzchów, co zgadnąć nie mogą,
Czemu te słowa: cisza i wieczór i miłość —
Napełniają mi serce zabobonną trwogą?...

Czemu ciebie, poległą snem na mej rozpaczy,
Pieszczę tak, jakby w szczęścia przepychu dostatnim
Każdy mój pocałunek miał być już — ostatnim...
Słońce zgasło... O, błagam, nie całuj inaczej!...

SZMER WIOSEŁ.

Szmer wioseł dwojga w gęstwinie fal, —
I szmer — i słońce — i śpiew — i dal!

Tak właśnie trzeba i tylko tak:
Płynąć wbrew ziemi — niebu na wspak!

Perły, korale skradzione dnu
Rzucać w głębinę własnego snu —

I nasłuchiwać — o, złudo złud! —
Czyli uderzą z jękiem o spód?...

Łódź się odbija w fali na wznak, —
Tak właśnie trzeba i tylko tak!

Dwoistą łodzią i tu i tam
Płyń jednocześnie, podwakroć sam!

Dwoistą łodzią w bezmiary płyń,
Podwójnie kochaj, podwójnie giń!

Czworo masz wioseł, dwa stery masz,
Ku własnej twarzy schyloną twarz —

Jakbyś wypłynął z dwu różnych snów,
Aby w tym jednym spotkać się znów!...

Jakbyś zaprzysiągł noce i dnie
Temu jednemu! Mój śnie, mój śnie!...

ZMORY WIOSENNE.

Biegnie dziewczyna lasem. Zieleni się jej czas...
Oto jej włos rozwiany, a oto – szum i las!

Od mrowisk słońce dymi we złotych kurzach – mgłach,
A piersi jej rozpiera majowy, cudny strach!

Śnił się jej dzisiaj w nocy wilkołak w głębi kniej,
I dwaj rycerze zbrojni i aniołowie trzej!

Śnił się jej śpiew i pląsy i wszelki ptak i zwierz!
I miecz i krew i ogień! Sen zbiegła wzdłuż i wszerz!...

A teraz biegnie w jawę, przez las na lasu skraj, –
A za nią – Maj drapieżny! Spójrz tylko – tygrys-maj!...

Dziewczyna płonie gniewem... zaciska białą pięść...
A wkoło pachną kwiaty... Szczęść, Boże, kwiatom szczęść!

A w koło pachną kwiaty, słońcem się dławi zdrój!
Purpura – zieleń – złoto! Rozkwitów szał i bój!

Grzmi wiosna! Tętnią żary! Krwawią się gardła róż!
O, szczęście, szczęście, szczęście! Dziś, albo nigdy już!...

Dziewczyno, hej, dziewczyno! Zieleni się nam czas!...
Kochałem nieraz – ongi – i dzisiaj jeszcze raz...

Dziewczyno, byłem z tobą w snu jarach, w głębi kniej, –
Jam – dwaj rycerze zbrojni i aniołowie trzej!...

Jam – śpiew i pląs zawrotny! Jam wszelki ptak i zwierz!
Ja – miecz i krew i ogień! Sen zbiegłem wzdłuż i wszerz...

Sen zbiegłem, goniąc ciebie, twój wierny tygrys-maj!..
Ja jestem las ten cały, – las cały aż po skraj!

ZMIERZCH MAJOWY.

Zmierzchu majowy, purpurą się ściel!
Z jabłonnych kwiatów — czar tobie i biel!...

W jedną się falę stapiają bez fal —
Ze światłem — smutek, a ze smutkiem — dal.

Ten Maj w niebiosach, zwieczorniały Maj!
Przypomnij wszystko — i zrozum — i łkaj...

Wiem, że ty teraz pochyliłeś skroń
W okno, rozwarte na światłość, na woń.

I wzrok wytężasz poza życia kres
Aż do utraty oddechu i łez, —

Aż do wchłonięcia oddali i cisz,
Aż do niewiedzy, dla kogo tak śnisz?

Aż do pytania, dlaczego w ten znój
Świat zda się obcy, choć blizki, choć twój?

I czemu zorzy purpurowy czas
Do trwóg przynagla i ciebie i nas?

I czemu trzeba ku zbłaganiu zórz
Poczwórnych dłoni i aż dwojga dusz?...

*   *   *

Gdybym spotkał ciebie znowu pierwszy raz,
Ale w innym sadzie, w innym lesie, —
Możeby inaczej zaszumiał nam las,
Wydłużony mgłami na bezkresie...

Może innych kwiatów wśród zieleni brózd
Jęłyby się dłonie, dreszczem czynne, —
Możeby upadły z niedomyślnych ust
Jakieś inne słowa — jakieś inne...

Możeby i słońce zniewoliło nas
Do spłonięcia duchem w róż kaskadzie,
Gdybym spotkał ciebie znowu pierwszy raz,
Ale w innym lesie, w innym sadzie...

WSPOMNIENIE.

Drzwi rozwarte na oścież były w naszym domu,
Dłoniom, co je rozwarły, zamknąć zbrakło mocy...
Szereg komnat na przestrzał widniał, jak po nocy
Mętne wspomnienie alej, nieznanych nikomu.

Wszystko — w mroku. — I tylko ów pokój ostatni
Z oknem w zaświat — na słońce, po pas wbite w chmurę,
Jarzył się — cały w blasków pełgających matni —
I siał pyły słoneczne przez kotar purpurę.

Tam — w tych ścianach kosmatych od pręgów i pasem,
Wśród zacieków purpury i wyparów złota,
W słupach świateł spylonych — ta nasza pieszczota
Rozwidniła się nagle, jak chmura nad lasem...

I, gdy ją wylew słońca grzał skośnym potokiem,
Uczuła radość wstydu, co się wyzbył siebie,
Aż się z pyłem słonecznym zmieszała, jak w niebie
Miesza pół obłoku z drugim pół-obłokiem.

Dzisiaj, gdy już zamknięto drzwi naszego domu,
A ja skarżę się we śnie złotowłosym cieniom,
Czasem ku owym progom biegnę pokryjomu,
By rozewrzeć drzwi wszystkie na oścież wspomnieniom!

I rozwieram — a sam się usuwam w kąt ciemny,
By stamtąd widzieć światłość w ostatnim pokoju
I z jego wiecznych purpur i wiecznego znoju
Snuć dla reszty mych komnat wyrok potajemny...

Ściany, stropy i odrzwia i skrętne zawiasy
Wrdzawione w zmierzch, co lada iskrę uwydatni,
Czerpią połysk dla pleśni, brzask dla martwej krasy
Stamtąd i zawsze stamtąd — z komnaty ostatniej!

Tam już niema ciał dwojga: niebu w próżnię droga!
Słupy świateł, istnieniu podane ukosem, —
Szmer purpury, co z czyimś zetknęła się losem,—
Wieczna światłość!... Kurz złoty!...
Pył słońca w twarz Boga!

LAS.

Pomyśl: gdy będziesz konał —
czem się w tej godzinie
Twoja pamięć obarczy, nim szczeźnie a minie,
Wszystką ziemię ostatnim całująca tchem?
Czy wspomnisz dzień młodości — najdalszy od ciebie —
Za tę jego najdalszość, za odlot w podniebie,
Za to, że w noc konania nie przestał być dniem?

Czy wspomnisz czyjeś twarze, co —
wspomniane — zbledną?
Czyli, śmiercią znaglony, zaledwo z nich jedną
Zdążysz oczom przywołać — niespokojny widz?
Czy w popłochu tajemnych ze zgonem zapasów
Zmącisz pamięć i zawrzesz na sto rdzawych zasuw,
I w tem skąpstwie przedśmiertnem
nie przypomnisz nic?

Lub ci może zielonem narzuci się złotem
Las, widziany przygodnie — niegdyś — mimolotem,

Co go wywiał z pamięci nieprzytomny czas?...
I, ócz zezem niecałe rojąc nieboskłony,
Łzami druha powitasz — i umrzesz, wpatrzony
W las nagły, niespodziany, zapomniany las!...

PRZYJDĘ JUTRO, CHOĆ NIE ZNAM GODZINY.

Pordzewiały twej wrótni zawory,
Dym z twej chaty nie buja po niebie, —
Mnie tam niema! Tu jestem — bez ciebie,
Tu, gdzie w próżni mijają wieczory!
Zmienionego, nim przywrzesz do łona,
Wiem, że poznasz po łkaniu przewiny!...
Czekaj na mnie, w cień własny wpatrzona,
Przyjdę jutro, choć nie znam godziny...

Zapal światło u progów przedsienia,
Z macierzanek spleć wieniec nad czołem,
Naucz dzieci mojego imienia
I zachowaj mi miejsce za stołem!
Ku tej drodze, gdzie idą pątnicy,
Dłonie twoje rzucają cień siny...
Zasadź brzozę pod oknem świetlicy,
Przyjdę jutro, choć nie znam godziny...

Duch mój, chabrem porosły i wrzosem,
Burz zapragnął, co chłodem go zwarzą!

Nie znam głosu, co będzie mym głosem,
Nie znam twarzy, co będzie mą twarzą, —
Lecz ty jedna mnie poznasz niezłomnie,
Gdy, twe imię śpiewając w doliny,
Z raną w piersi, zmieniony ogromnie
Przyjdę jutro, choć nie znam godziny...

CIEŃ.

Anim patrzał na słońce przez lny,
Anim chodził do boru po sny, —
Jenom widział, jak rzucony wzdłuż
Cień mój powstał by nie upaść już.

Przetarł oczy i otrząsnął pył,
Co był złoty i wiekowy był,
W dniach zamierzchłych rozejrzał się wstecz,
Przywdział zbroję i przypasał miecz.

Siadł na rączy, na bułany koń,
Uśmiechnięty cwałował przez błoń,
Kopytami tratując na płask
Kół słonecznych po murawie brzask!

Dokąd zbiegłeś, konny cieniu mój?
Czy z różami na śmiertelny bój?
Czy do baśni, niewidzialnej stąd?
Czy w umyślny gwiazd po niebie zbłąd?

»Ni do gwiezdnych wyżej ziemi burz,
Ni do białych niżej słońca róż,
Jeno pragnę powrócić w ten kraj,
Gdzie ty byłeś — drzewom dany Maj!

Gdzie ty byłeś — ponad jarem dąb,
Zasłuchany w zew anielskich trąb,
A ja — wpobok od słonecznych wrzeń —
W głębi jaru — twój dębowy cień!

Gdzie ty byłeś z tamtej strony chat
W snach zapadły, nieprzebyty sad,
A ja — na wznak poległy u wrót —
Twej zadumy wzór nikły i skrót!...«

Wracaj, cieniu, konny cieniu mój,
Po przez kwiaty — w ten za nimi znój,
Poprzez biały na jabłoni puch —
W zmierzch dębowy, gdzie bywał mój duch!

Anim patrzał na słońce przez lny,
Ani chodził do boru po sny, —
Jenom widział, jak w wiosenny czas
Z cieniem moim Bóg spotkał się raz...

PIEŚŃ O PTAKU I O CIENIU.

Gdy — pod brzeg odbity stawem —
Po niebiosach płynie ptak,
Tajnią lotu, wichru zjawem
Kołysany wprzód i wspak, —
Wpatrzonemu w staw pod brzegi
Przez ruchliwe trzcin szeregi
Zdaje mi się wobec świata,
Że on za mnie tak odlata,
W niebie, w trzcinie mknąc, jak we śnie,
Tu i ówdzie — jednocześnie!...
Za mnie, za mnie, com wrośnięty
Duchem — w ziemię, sercem — w męty
Łez, wyciekłych z gwiazd w źrenice
Tym, co weszli w mą świetlicę
Niewiadomo — jak i skąd, —
I stanęli nagle w rząd!...

I gdy cień swe skrzydła szare
Włóczy we mgle tam i sam,

Oddający na ofiarę
Siebie — drzewom, drzewa — nam, —
Stojącemu popod lasem,
Gdzie czas — szumem, a szum — czasem,
Zdaje mi się odniechcenia,
Że on za mnie sny odmienia,
To od dęba, to od sosny
Wydłużony w bezmiar wiosny!
Za mnie, za mnie, co nie mogę
Nikłym cieniem paść na drogę,
By nieść duchem w mgieł obczyznę
Dziwną kwiatów podobiznę
I pod wiatru miotać wiew
Na murawę — kształty drzew!...

Ptak — w niebiosy, cień — w mgławicę,
Pogrzeb sunie przez ulice,
Przez ulice — wzdłuż i wskroś!...
Tak i nie tak — w inne kraje,
A mnie zdala się wydaje,
Że to za mnie umarł ktoś!...
Ktoś mi obcy, a już — bliski
W trumnie, cichszej od kołyski,
Duchem wzbity ponad światy
Nakształt dymu z mojej chaty,
Idzie z czarnych kół turkotem,
Jakby właśnie szedł z powrotem
Za mnie, za mnie, co — zaklęty —

Róż zrywaniem pochłonięty
Zwlekam wciąż u wnijść tysiąca
Do tych mgieł za mgłą miesiąca,
Zwlekam, w sobie zapodziany,
Zapatrzony, zasłuchany,
I tak żądny snów bez celu,
Że mi oto w mem weselu
Ani nie żal, ani żal
Tych, co za mnie idą w dal!...

ZIELONA GODZINA

I

Rozechwiały się szumne gałęzi wahadła
Snem trącone! Wybiła Zielona Godzina!
Wynijdź, lesie, z swej głębi, ty — nasz i nie nasz!

Czyjaż dusza w twe gąszcze znowu się zapadła?
Czyjaż twarz się strumieniom twoim przypomina?
Jeszcze moja przed chwilą — już niczyja twarz...

Dziwno mi, że ją widzą wód prądy i drzewa,
Tę samą — a już inną, i szepczą: »To — ona!
Zbłąkaną po za nami — Bóg przywrócił nam!...«

Mamże dziś po jej rysach poznać las, co śpiewa?
Wszak mówiłem: gdy przyjdzie Godzina Zielona,—
Oddam lasom — co leśne, choćbym zginął sam!...

II

I przyszła!... Czują mrowisk ruchliwe pagóry,
Że to ja po nich stąpam, rwąc pajęczyn gazę,
Skrzącą się, jak sam poblask — znikąd i bez tła...

Cisza, dławiąc się w kwiatach, brzmi echem w lazury,
Jakby właśnie, do kwiatów mająca urazę,
Niewidzialna dziewczyna, głośno płacząc, szła!

Duchu mój, wrażę ciebie, niby dziób bociani,
W mokradła, żab oddechem nabrzmiałe i wzdęte,
Byś poznał woń pod ziemią zaczajonych wód!

W tobie — znojny szmer wężów, śmierć zdybanej łani,
Nagła czerwień wiewiórek i zbóż złoto święte,
I skwary macierzanek i paproci chłód.

Jakże las, wespół z tobą zieleniąc się, dyszy!
Wzdłuż polany przed chwilą wędrowny cień kruka
Przemknął, ledwo ukosem tykając mych brwi.

Zdaje mi się, że teraz — w tym znoju, w tej ciszy,
Kiedy dzięcioł do dębu pierwszego zapuka, —
Czyjejś chaty dalekiej rozewrą się drzwi!...

III

Kochajcie mnie, kochajcie, wy — gęstwy zieleni,
Wypełzłe z nor podziemnych na jasność przestworu,
Zrodzonego w tym samym, co me serce, dniu!

I wy, senne gromady powikłanych cieni,
Z głębi słońca na zawsze wygnane w zmierzch boru,
I ty — stary, uparty, niewzruszony pniu!

I ty, skrętna jemioło, coś zwykła na dębie
Wieszać gniazda czepliwe — dla ciszy, nim jeszcze
Snem się złotym opierzy, by ulecieć w świat!

I ty — wązki strumieniu, co w srebrnym obrębie
Taisz niebo — dla szczura wodnego, gdy w dreszcze
Fal twych wpada, nadbrzeżny potrącając kwiat!

Kochajcie mnie, kochajcie! Bo mnie wicher mroźny
Gnał ku wam – z gwiazd bezleśnych aż na tamtą stronę
Życia, gdzie w zieloności wypoczywa skroń!

Kochajcie mnie, kochajcie, bom miłością groźny!
Nie znam granic, ni kresów! Pożądam i płonę!
Płonący wołam światu: Razem ze mną płoń!

IV

Dziewczyno, nim się w mojej odbijesz źrenicy,
Musisz przebrnąć splątane zieloności zwoje,
Co oddawna mych oczu zaprószyły głąb.

Leśno tam i cieniście, jak w owej krynicy,
Gdzie drzew wierzchy tkwią na dnie.
Nie patrz w oczy moje,
Bo twą postać przesłoni pierwszy z brzegu dąb!...

Długo one — te oczy — zbłąkane wśród jarów —
Zbierały kwiaty żywe i śmiertelne zioła,
Zważając na motyli dookolny tan.

Dzisiaj głąb ich — to leśny a widzący parów...
I nie wiem, czy śmierć kiedyś udźwignąć podoła
Ducha — jagód purpurą przeciążony dzban!

Nieraz one — te oczy — wpatrzone gwiaździście
W słońce, światłem rozprysłe po dębowych sękach,
Czuły, jak w nich dojrzewa i paproć i wrzos...

Więc im dano na miłość poglądać przez liście,
Nikłym cieniem na moich pełgające rękach,
Co za chwilę, dziewczyno, rozplotą twój włos.

Że też temi oczyma, gdzie las ma schronisko,
Zdołałem postrzedz ciebie — w twej chacie za rzeką,
Gdy się wokół i dalej rozpłomienił czas!

Lecz, choćbyś do mej piersi przywarła się blizko,
Zawsze będę cię widział cudownie daleką —
Przez ukryty w mych oczach, nieznany ci las!

V

Czylim światów tajemnych zjawionem przedmurzem,
Na które drzewa cień swój kładą nieprzytomnie?
Ciało moje — na brzegu, reszta — w mroku den.

Jam jest miejsce spotkania łez ze złotym kurzem
Słońca, ptakom widnego!... Oto bór śni o mnie
Sen, liśćmi zaprószony, gałęzisty sen!

Śni, że idę, nie wiedząc ni dokąd, ni za czem, —
Ku bezcelom, zapadłym w nieprzebytą ciszę,
Gdzie wszystko jest — bez nazwy, bez granic, bez tchu.

Na rękach niosę strumień, potrząsany płaczem,
I uśmiechem go koję i do snu kołyszę,
By go złożyć pod skałą — na trawie — na mchu.

Brzozy, nagle od ziemi oderwane łona,
Idą za mną, by drogę śpiewaniem mi skrócić
I — marzeń dźwigaczowi — leśnych przydać sił...

Wiedzą, że blady strumień na ręku mem kona,
Że go trzeba zdać kwiatom i ziemi przywrócić,
Że go trzeba pogrzebać, by dzwonił i żył.

I grzebiemy go wspólnie — i żyje i dzwoni,
Za kres boru wybiega, w nieskończoność polną,
By się sycić odbiciem najzieleńszych niw.

A brzozy z trwogą na mnie patrzą z swej ustroni,
Bo wiedzą, że mnie w ziemi pogrzebać nie wolno,
Żem inny, niepodobny, — odmieniec i dziw!

VI

W parowie, pod leszczyny rozchełstanym cieniem
Spadły z nieba bezwolnie wraz z poranną rosą —
Drzemie Bóg, w macierzankach poległy na wznak.

Dno parowu rozkwita pod jego brzemieniem.
Biegnę tam, mokre trawy czesząc stopą bosą,
Schylam się nad drzemiącym i mówię doń tak:

— »Zbudź się, ty — ptaku senny!
Ty — ćmo wielkanocna,
Co zmartwychwstajesz pilnie, by lecieć w ślepotę
Świateł gwiezdnych,
gdzie w mroku spala się twój czar!

Zbudź się! Słońce już wstało!
Niech twa dłoń wszechmocna
Zrywa kwiaty te same, com we włosy złote
Mej dziewczynie zaplatał, jak twój z nieba dar!

Zbudź się! Pierwszego szczygła zapytaj o drogę
Do chaty, gdzie po nocach przez okienic szpary
Śmiech mój i me nadzieje patrzą w wonny świat!

Pójdziem razem! Ramieniem własnem cię wspomogę!
Pokażę ci sny nasze i nasze moczary —
I słońce w oczach ptaków, zapatrzonych w sad!...«

Tak doń mówię — i dłonią, wyciągniętą mężnie
Nad nim, jak nad zwaloną od uderzeń bramą,
Trafiam na jego ku mnie wyciągniętą dłoń!

I zgaduję — oczyma wodząc widnokrężnie —
Że on do mnie z parowu modlił się tak samo,
Jak i ja — nad parowem — modliłem się doń!...

VII

Dzwoń, Zielona Godzino! Płomień się goręcej
Dniu, szelestem gałęzi zwabiony z mgieł dali!
Poznaj się, duszo moja, po zapachu traw!

Tyś jest kwiatem i drzewem, mniej nieco a więcej...
Przez las biegnie sen wioseł o słońcu na fali, —
Teraz mi całą ziemię przebyć w bród i wpław!

Skwar widmem złotych siekier uderzył w drzew tłumy!
Trzebaż im ponadawać raz jeszcze imiona,
By je poznać w zamęcie upalnego snu?

Zamieniły się wzajem na cienie i szumy,
Wysnuwając wbrew sobie z rozkwitłego łona
Dziwy, wichrem wmawiane jeziornemu dnu!

Paproć rzuca cień lilji, co w nikłym kielichu
Dźwiga wspomnienie łodzią rozszemranej wody
Wespół z cieniem motyla, co tę wodę pił.

Wierzba ściele na trawie — mgłom znany ze słychu
Cień dziewczyny, idącej kędyś przez ogrody,
Wyśpiewane z fujarki przez kogoś, co śnił.

Wpobok dębu — w ukośnem majaczy skróceniu
Cień rozwartej na słońce, niewiadomej chaty,
Która kiedyś powstanie, burząc jego pień...

A od mojej postaci, widnej mi w marzeniu,
Znienacka u stóp legły — upada na kwiaty
Cień Boga — ponadmierny, niespokojny cień!

VIII

Wynijdź, lesie, z swej głębi! Wynijdź z legowiska
Zaczajonych rozkwitów, zieloną drzemotą
Wpartych w ziemię, po ciemku zapatrzoną w znój!

Wynijdź nagle z nor wszystkich, z jarów bez nazwiska,
Z kniej, zapadłych w moczary, —
z trzcin wrosłych tęsknotą
W wód zwierciadła, by zdwoić sen nad wodą swój!

Wynijdź z woniejącego na wiatr pogmatwania
Macierzanek z pokrzywą, zaszytą w cień rowu,
Gdzie pełno czarnoziemnych, zwilgotniałych cisz!

I z gniazd ptasich, skąd radość słońcu się odsłania,
Beznamysłem świegotu, dająca moc słowu,
Zbiegłemu z ust niczyich — w zmierzch zielonych nisz!

Wynijdź! Wałem zieleni spadnij na mą duszę,
Przynagloną do śmierci spełnieniem zachwytu,
Wyszłego na spotkanie tobie — w dal i w czas!

Zjaw się — szumny i wielki w słońca zawierusze,
Pełen jeszcze na oczach zgrozy i błękitu,
Z sercem, w piersi ciążącem, jak rozgrzany głaz!

Uchyl nagle przede mną zielonej przyłbicy,
Ukaż twarzy nieznanej boskość i zaklętość,
Co wiecznie z poza krzewów niepokoją mnie!

Niech odbiję się cały w twej sępiej źrenicy,
Niech zobaczę tych odbić czar i niepojętość,
Niech się dowiem, czem byłem dla ciebie w twym śnie?

IX

Zdźwignął las ze swych parnych pod ziemią barłogów
Duszę, wbitą sękami w żywiczne zamęty
Snów o słońcu,
wpatrzonem w szprychy smolnych kół...

Szumiąc mrowiem wylęgłych
z gniazd wiewiórczych bogów,
Szedł ku mnie —
zgrzany wiosną, wielki, uśmiechnięty,
Wzdychający nadmiarem swych jezior i pszczół.

Po długiem niewidzeniu — nowych zgróz i mocy
Nabraliśmy, by zejść się w dzień zmowny i jasny,
Pełni zmężnień słonecznych i podziemnych zmian!

Skroś tysiąc nieprzespanych w rozłące północy
Odbity w jego oku — widzę kształt mói własny,
Zieleniący się ptakom, jak daleki łan.

Wiedząc, że wonne burze na oślep się zemszczą
Za to nasze niebiosom widne z chmur spotkanie,
Trwaliśmy — dwie tęsknoty, z nor wypełzłe dwóch!

Jam czekał, aż się moje sny ku niemu zziemszczą,
Aby w cieniu paproci zrosić swe otchłanie,
A on czekał, aż w nim się rozlegnie mój duch!

I długo my patrzyli w siebie — niezwiedzeni,
Wonią głębin rozkwitłych pojąc się nawzajem,
Zieleniąc się naprzemian tajnią swoich szat.

Aż, dojrzawszy z kolei gromadę swych cieni,
Gdy nas pierwszy lęk nagłym rozdzielił ruczajem,
Cofnęliśmy się — każde w swą ciemność, w swój świat.

X

Teraz ja wiem, że wokół — poza mną i — dalej
Tłumy spojrzeń miłosnych z za krzewów i kwiatów
Czyhają na zbliżenie mych piersi do zórz!

Teraz ja wiem, co znaczy u wylotu alej
Cień, upadły z przesianych przez liście zaświatów
Słońcu — nawspak,
a ziemi i mym stopom — wzdłuż!

Wszystko widzi się! Wszystko pełni się po brzegi
Czarem odbić wzajemnych! Spojrzyj przez igliwie
W niebiosy, a w jezioro —
po przez płotów chróst!...

Bóg się zmieszał w mych oczach
z brzaskiem słońc, na śniegi
Wbiegłych złotem —
i z szmerem jaszczurek w pokrzywie,
I z wonią bzu i z słodką krwią dziewczęcych ust!

Dzwoń, Zielona Godzino! Miłością bezwstydny
Płomień się, wonny świecie, pozbyty żałoby
Po mnie, com długo krył się przed tobą w mój żal!

Idę oto na słońce, wiedząc, żem wskroś widny
Drzewom, w drodze spotkanym, i ptakom, co dzioby
Zanurzają w me usta, odbite wśród fal.

Żem się przyśnił i zwidział tym kwiatom i ziołom,
Żem się pokładł na życiu, jak żóraw na łące, —
Po nad siebie rozkwitam, po nad siebie trwam!

O, ruczaje skąd niebo przygląda się siołom!
O, gąszcze dziwów leśnych! O, kwiaty, widzące
Mói na ziemi ziaw nagły, — sen i chwała wam!

Z KSIĘGI PRZECZUĆ

PROLOG.

Dwa zwierciadła, czujące swych głębin powietrzność,
Jedno przeciw drugiemu ustawiam z pośpiechem,
I widzę szereg odbić, zasuniętych w wieczność,
Każde dalsze zakrzepłem bliższego jest echem.

Dwie świece płoną przy mnie, mrużąc złote oczy,
Zapatrzone w lustrzanych otchłań wirydarzy:
Tam aleja świec liśćmi złotymi się jarzy
I rzeka nurt stężały obojętnie toczy.

Widzę tunel lustrzany, wyżłobiony, zda się,
W podziemiach moich marzeń, groźny i zaklęty,
Samotny, stopą ludzką nigdy nie dotknięty,
Nie znający pór roku, zamarły w bezczasie.

Widzę baśń zwierciadlaną, kędy, zamiast słońca,
Nad zwłokami praistnień orszak gromnic czuwa,
Baśń, co się sama z siebie bez końca wysnuwa
Po to, aby się nigdy nie dosnuć do końca...

Gdy umrę, bracia moi, ponieście mą trumnę
Przez tunel pogrążony w zgróz tajemnych krasie,
W jego oddal dziewiczą i głębie bezszumne,
Nie znające pór roku, zamarłe w bezczasie.

Gdy umrę, siostry moje, zagaście blask słońca,
Idźcie za mną w baśń ową, gdzie chór gromnic czuwa,
W baśń, co się sama z siebie bez końca wysnuwa
Po to, aby się nigdy nie dosnuć do końca!...

NOC.

Noc na niebie. Wieś w mroku złudnie roztajała
W bezkształt senny,
tu — ówdzie światłem zwypuklony.
Psów wycie rozpowiększa bezbrzeż wsi uśpionej,
I, niby srebra stosy, płonie chmur nawała.

W tej i owej chat szybie świeca lśni, jak gwiazda,
Czasem sylweta głowy mignie tam i zginie:
Sen szyby... W wonnych sadów szemrzącej głębinie
Duchy na nocleg w ptasie wdzierają się gniazda.

Zapach ziemi wilgotnej i zziębniętych kwiatów
Zlewa się w jeden mocny i wystały trunek.
Wietrzyk spadł mi na czoło, niby pocałunek, —
Skąd, od kogo? — sam nie wiem!
Może z poza światów...

A na niebie rozpiętem, bezbrzeżnie rozległem
Księżyc pała, chmur srebrne zwisają odlewy,

Jakiś anioł (on nie wie, że go tam dostrzegłem!)
Anioł błękitnooki i złocistobrewy
Z gorączkowym rumieńcem, w zwierciedle księżyca
Przegląda swe o Bogu zadumane lica.

STEP.

Wkoło mnie step, chłonący własne uciszenie.
Wicher — rzekłbyś — z księżyca wybiega z szelestem.
Zdaje mi się, żem ziemskie zatracił istnienie,
Że step śni, a ja — stepu snem przelotnym jestem...

Lęk mię chwyta, że ocknie się mój dziw uśpiony,
I pierzchnę z jego oczu, ja — chwilowa mrzonka!
Lecz śpi mocno — a jego sen po nim się błąka,—
Błąkam się, jakbym wpłynąć pragnął w nieboskłony!

Cień za światłem, a światło sunie się za cieniem
Po ziemi, gdzie się w mroku zbłękitnia zieloność,
A tam, do widnokręgów przykuta milczeniem,
Czai się rozszerzona nocą nieskończoność.

GŁUCHONIEMA.

We wsi naszej jest jedna głuchoniema dziewka.
Pragniesz głos jej posłyszeć, gdy patrzy w lazury,
Bo w jej oku się tai gadatliwa śpiewka.
Przyszła do nas z wsi obcej, niewiadomo której.

Nikt nie zna jej nazwiska, ni snu, co ją stworzył,—
Chyba śmierć ją zawoła kiedyś po imieniu...
Ja — chciałem być jej śmiercią, aby w jej milczeniu
Znaleźć strunę, na której Bóg dłonie położył.

Myślałem, że, gdy w złotym wieczności obłędzie
Garścią ziemi uderzę w niemą pierś dziewczyny,
Pierś ta dumką łabędzią zahuczy w doliny
I zbudzi na jeziorach uśpione łabędzie!...

We wsi naszej jest jedna rzeka bardzo blada,
Dziad jakiś nurzał sieci w falistej głębinie, —
Pytam go, co za rzeka? — a on odpowiada
— »Trudno dać imię temu, co w dalekość płynie...«

— »*Mówią jedni, że Tykicz, drudzy, że Mohiła,*
Inni mówią: Daleka, a zaś inni: Blizka, —
Ja stary wiem, że nie ma ta woda nazwiska...
Co rzece po imieniu, gdy w snach dno zgubiła!...«

We wsi naszej nieziemskie bywają wieczory,
Gdy zorza świat przemienia w sen o snach nietrwały,
Wtedy w duszy się rodzą fioletowe zmory
I wspomnienia o rzeczach, które nie istniały.

W taki wieczór widziałem, jak ta głuchoniema
Z duszą do umarłego podobną słowika,
Ta śpiewaczka bezgłośna, lira bez lirnika
Szła ku rzece, witając ją dłońmi obiema.

Tam stanęła, jak człowiek, co, nie słysząc, słucha—
I złotą sieć warkocza zanurzyła w głębi.
Rybaczka! — chciała może złowić sen gołębi,
Który własnym jej głosem na dnie rzeki grucha!

Albo może pragnęła ta łowczyni śmiała
Chwycić własne odbicie w sieć złocisto-płową,
Myśląc, że ono, ludzką obdarzone mową,
Opowie ludziom wszystko, o czem wciąż milczała!

Nagle strząsnęła sploty. Ognie zórz ją złocą,
Jak światłość wiekuista, przyćmiona i senna...

Obca sobie i światu, między dniem a nocą
Nad bezimienną rzeką stoi bezimienna...

SAD.

Rozmajaczył się dzisiaj mój sad czereśniowy,
Ku księżycowi ścieżką wytężony krętą.
Noc go czyni podobnym do mrocznej alkowy,
W której drzewa uśpione wraz z ich snem zamknięto!

Rozmajaczył się dzisiaj mój sad... Wszak w południe
Dziewczęta rwały tutaj dojrzałe czereśnie.
Wyszły potem. Owoce, iskrzące się złudnie,
Skryły się w mroku nocy, niby oczy we śnie.

Skryły się w mroku nocy, — ale, idąc sadem,
Czuję wpośród ciemności ich ciężkie zwisanie, —
Czuję czyjeś spojrzenie na mem czole bladem:
Jest ktoś w sadzie, co patrzy i co ma swe trwanie...

Rozmajaczył się dzisiaj mój sad, jakby w sobie
Nie jedną, ale tysiąc nagromadził nocy!
Z czereśni pod przymusem niewiadomych mocy
Tryska światło czerwone ku głębin ozdobie!

I sad mój w purpurowem tonie oświetleniu,
W którem staje się wszystko, co się staje we śnie...
W południe tu dziewczęta zrywały czereśnie,
Wyszły potem...
Lecz teraz w szkarłatnem omdleniu
Widzę tu inne dziewki — cudowne, olbrzymie —
Żądze moje! Ta — spiekłe rozchyliła usta,
Inna własnym warkoczem słodkim, jak rozpusta,
Chłoszcze piersi, — a inna chce szepnąć me imię,
Lecz darmo — obłąkana — szuka go w pamięci:
Zginąłem tam, jak w wonnej ponętnej mogile!
Dobrze mi tam, — o! lepiej, niżli żyć przez chwilę
Z dziewką, co w głupim tańcu nadziei się kręci!

Sad szumi. Dziewki moje rojnie i gromadnie
W zachwyceniu na wielkie wspinają się drzewa
I rwą krasne owoce, tryskające zdradnie
Ogniem, który tej nocy tak sennie dojrzewa!

Rwą i karmią się chciwie przesłodkim płomieniem,
Wpływającym do piersi, jak do oczu — zmora,
Bo ten płomień, choć znika, jeszcze przed zniknieniem
Daje im przedsmak jutra, co przyjść miało wczora...

Ale ja czuję ciągle czyjś wzrok przez otchłanie,
I słyszę wciąż śmiech cichy, szyderczo-żałobny.
Jest ktoś w sadzie, co patrzy i co ma swe trwanie,
Ktoś, co drwi z moich dziewek... ktoś do mnie podobny!...

LEŻĘ NAWZNAK NA ŁĄCE...

Leżę nawznak na łące. Jakiś duch po burzy
Wspólnych lotów, w objęciach mocniejszych od stali
Zaniósł mię tu i złożył — sam odleciał dalej.
Słońce z dłoni omdlałej złoty sen mi wróży!

Wicher włosy mi czesze na rozgrzanej skroni.
Szum w dali niewidzialną kotarą powiewa,
Za którą harem kwiatów lubieżnie omdlewa,
Aż czuję podniebieniem smak trującej woni.

Zdaje mi się, żem skonał umyślnie i ożył,
Przemieniony w szum leśny, albo w szelest łąki,
Co życia nie pojmuje bez wiecznej rozłąki
Z drzewem, z którego powstał, —
z kwiatem, co go stworzył.

Zdaje mi się, że mózg mój jest tyglem piekielnym,
W którym słońce swe szały przetapia na złoto,
Żem roztajał oddawna w traw zgiełku weselnym,
Żem się rozsiał po łące, aby wzejść tęsknotą!...

Wrażenie barw i szumów i bezdennych światów,
Zmieszane w jedność, niby w stworzenia pradobie,
Oddziela się ode mnie, jako woń od kwiatów,
I trwa już ponade mną — i już samo w sobie!

A chociaż ze mnie wyszło — należy nie do mnie.
Lecz do wszystkich chmur, słońca przerażonych marą,
Do bezkresów, do nieba jasnego ogromnie,
Co na mnie — niewiernego — patrzy z taką wiarą!...

KABAŁA.

Oto pragnę odgadnąć bieg życia strumieni, —
Dni przyszłe, dni wysiłkiem godzin rozszalałe, —
W dłoni mam karty, zżółkłe, jak liście jesieni,
Od wichru wróżb trawiących. Układam kabałę...

I, gdy duch mój, prastarą z życiem strudzon waśnią,
W ogniach jasnowidzenia pali snów obiatę,
Pokój się rozezłaca w zamkową komnatę,
Ja — i wszystko poza mną wnet się staje baśnią!

Z kart głębi, gdzie się tają portrety odwieczne
Czterech dworów królewskich, zaświatowych dworów,
Wychodzą, do odklętych podobne upiorów,
Króle, damy i pazie — cztery sny słoneczne!

Zmarłych dawno czarownic widziadlane syny,
W turkusach i topazach, w jedwabiach i złocie,
W stroju sennym, zawiłym — ku mojej tęsknocie
Zwracają martwe oczy i ust koral siny.

I, unosząc w swych berłach wieczności promienie,
W kabalistycznym tańcu wirują po sali —
Damy, jak tulipany, — pazie, jak złocienie,
Królowie, jak lotosy, które żądza pali!

Do tańca gra im zwiewna, dalsza od miesiąca
Muzyka, wywołana ich stóp wirowaniem,
Melodya, niewiadomo skąd wypływająca,
Melodya, co trwa kędyś poza własnem trwaniem.

Trwa i śpiewa o bramach, gdzie w progach u celu
Nic nas jeszcze nie czeka, prócz oczekiwania,
O krainach przebrzmiałych, kędy w harf weselu
Sam taniec bez tancerzy upojnie się słania!...

Sam taniec bez tancerzy, sam szał bez przedmiotu —
Trwa i śpiewa i nagle w oddaleniu kona.
Wraz z nim pierzcha i moja baśń niedokończona,
Sen, wysnuty z niczego, albo z gwiazd obrotu!

I znowu dawny pokój widzę pełen cieni,
Co przed chwilą krył zamku zaklętego chwałę, —
W dłoni mam karty, zżółkłe, jak liście jesieni,
Od wichru wróżb trawiących. Układam kabałę...

ZAPOMNIENIE.

Czasem, gdy idę stepem, a noc rzuca własny
Cień, po którym chcę zgadnąć
jej zakształt niejasny, —
Wydaje mi się nagle, żem zapomniał — o czem? —
Nie wiem, —
lecz o czemś blizkiem, tajemnem, uroczem...

Możem chciał się pomodlić, wtopiony w przestrzenie,
O nagłe, niespodziane, nieziemskie istnienie,
Ale słowa modlitwy pierzchły w mgły bezdomne, —
I już się nie pomodlę i słów nie przypomnę.

A może śmierć wejrzała ku mnie z podobłoczy,
Kiedy miałem ku życiu zawrócone oczy —
I zapomniałem umrzeć, zapomniałem o tem,
By odlecieć w świat, który wiecznym jest odlotem!

Lub może potajemny rozkaz czułem w duszy,
Abym dom swój opuścił na zawsze wśród głuszy,

A szedł błędny w oddale senne, nieprzytomne —
I zapomniałem — dokąd? — i już nie przypomnę.

Jest to chwila, gdy pamięć mimo trwożnej chęci
Pocałunek na czole składa Niepamięci...
Chwila, gdy idę stepem, a noc rzuca własny
Cień, po którym chcę zgadnąć
jej zakształt niejasny...

EPILOG.

Bracie, smutny mój bracie! Ty, co słyszysz wiecznie
Echa własnych odjazdów ku krańcom istnienia,
Ty, co duszę, stworzoną od Bożego tchnienia,
Chcesz tchnąć dalej —
w głąb marzeń, płonących słonecznie,

Gdy skroń twą melancholii pustelnicza cnota
Przykuje do szyb zimnych samotnej komnaty,
Pij truciznę mej pieśni, cenniejszą od złota,
Pieniącą się obłędem wonnym, niby kwiaty!

Dusza twoja w tem życiu, jak księżyc w jeziorze,
Odbiła się, na mgnienie rozjaśniając fale,
Jutro księżyc odpłynie w niewiadome dale,
Jezioro spustoszeje i ciemność je zmoże!...

Odwróć oczy od niego!
Spójrz na gwiezdne szlaki,
Którymi iść masz dłużej, niżeli po świecie!

Pij truciznę mej pieśni i w tajemne znaki
Swych przeczuć wglądaj zawsze ufny, jako dziecię!

A oto przykazanie daję ci w żałobie
Z moich marzeń Synaju, gdzie ukryty płonę:
Czyń tak zawsze i dumaj, jak gdyby ku tobie
Oczy wszystkich umarłych były wciąż zwrócone!

ANIOŁOWIE

* * *

Niegdyś powagą i grozą płomienni —
Stali się dzisiaj wspomnieniem i echem,
Wymysłem ptaków, obłoków uśmiechem
Ci — niezastępni i ci — niezamienni.
Dla gnuśnych bogów są stróżami ziemi,
Dla zakochanych — wzorem lub przysięgą,
Dla dzieci — dziećmi, lecz bardziej pięknemi,
A dla poetów — przyrównań potęgą!
Dla zmarłych — lilją, wykwitłą zawcześnie,
A dla rycerzy — ogniem i żelazem,
A dla uśpionych — zaledwo snem we śnie,
A dla mnie — niczem i wszystkiem zarazem!

Zaś dla rusałek, zrodzonych wód jaśnią,
Są zaniedbaną w błękitach współbaśnią...

* * *

Bywają ognie — podobne do ciszy,
Co na przechodnia w zaroślach czatuje...
Takich się ogniów nie widzi, lecz słyszy, —
Nawet nie słyszy, lecz raczej zgaduje.
Serca im w piersi wonieją, jak róże, —
Lecz im nie wolno korzystać z róż mocy,
Ni czarów własnych nadużyć po nocy,
Ni łkać, ni wątpić, ni konać w lazurze!
Nie wolno modlitw gałązki jedynej,
Niesionej Bogu ku czoła ozdobie,
Przyłamać stopą, — lub przyśnić się tobie
W postaci nagiej, zuchwałej dziewczyny!...

Więc próżno patrzą w słoneczność dokolną,
Bo im ni kochać, ni szaleć nie wolno.

* * *

A oni właśnie najtrwalej, najdzielniej
Mogliby kochać — od nocy do świtu, —
Podobni mewom w zatokach błękitu,
Tem od nich różni, że tak nieśmiertelni.
Oni to właśnie zmyśliliby krocie
Pieszczot zawiłych, nieznanych na ziemi,
I niestrudzeni byliby w pieszczocie,
I niestrudzeni — i wielcy — i niemi!
Bo dla nich tylko, zaprawdę, że dla nich
Przyjdzie ta miłość, co światy ogarnie!
Jam śledził w niebie poloty ich sarnie
I lęk błękitny w ich źrenicach łanich!

Jam słyszał nieraz, że szemrzą, jak płomień,
Skrzydłem, utkanem z tęcz i oszołomień!

*   *   *

Znojni miłosnych zachceń tajemnicą,
Jednako zemdleć potrafią w pogoni
I za rycerzem, co się kocha w broni,
I za bezbronną na kwiatach dziewicą.
Zmarli i żywi, zbożni i występni,
Niezwyciężeni — i ów, który ginie, —
Są ich miłości zarówno dostępni,
Jak szczyty górskie i kwiaty w dolinie!
Nie ujdzie motyl, ni pszczoła, ni szerszeń
Ich oczom chciwym, gdzie błękitna baczność
Zmienia tęsknotę w bezbrzeż i cudaczność,
Skąpiąc jej wszelkich granic i zawierszeń!

Bo nie zna granic ich żądzy przewina,
Prócz tej, gdzie nagłe szczęście się zaczyna...

* * *

Zawieruszeni w parowach obłocznych
I zapodziani wśród niebieskich polan, —
Lubią się ruchów pozbywać widocznych,
Klękać i włosy rozpuszczać do kolan.
Lubią się kluczem rozwłóczyć żórawim
Po sennej wzdłużni liljowych wieczorów,
Albo kagańcem zaświecić się pawim
I pomieszaniem umyślnych kolorów.
Oku, gdy ku nim pośpieszy i przebrnie
Świetlane oćmy, co w niebie się mrowią,
Oni się w gwiazdach błękitnie zróżowią,
Zgasną i — spojrzyj! — zazłocą się srebrnie...

Lecz im nie dano, mimo skrzydeł trwałość,
Ponad kolorów ulecieć nieśmiałość!...

*   *   *

A lubią jeszcze powikłaną zgrają
Spłoszyć się nagle o samej północy,
Albo udawać, że tylko udają
Uległość niebu i hołd swej niemocy...
I lubią szukać wskroś nieba opary
I nie znajdować błękitnej przyczyny
Narodzin, którym słoneczne zegary
Nie dały jednej, śmiertelnej godziny.
Lubią się jeszcze nie skarżyć, nie żalić
Na kwiatów wonność, na słońca uduszność,
I na ten ogień, co nie chce ich spalić,
I na istnienia całego niesłuszność!

A potem na wznak kłaść się na niebiosy,
Splatać ramiona i rozplatać włosy.

* * *

Śni się im czasem, że ognia zagładom
Oddają ciał swych zawiłą wytworność,
Że przeklinają swych ramion oporność
Zmownym pieszczotom i nocnym układom, —
Że łodzie, tratwy i promy powietrzne
Mkną na wyścigi wraz z nimi w zaświaty,
Że złotem żądłem wpijają się w kwiaty,
By z nich wysączyć wina niebezpieczne!
Że, upojeni i śmiertelni prawie,
Czepliwej wargi szukają wargami,
Że się na ślepo tarzają po trawie,
Ale nie sami! O, dziwnie nie sami!...

I przez sen płaczą we trwodze dziecięcej,
I we śnie wiedzą, że sen to — nic więcej!...

* * *

Ocknieni ze snu, przypomnieć nie mogą
Widzeń, podobnych do ognia i róży,
Choć wiedzą o tem, że sen się powtórzy
Z tą samą różą i ogniem i trwogą...
Wiatr im zaprzecza, do sporów niezdatnym,
Zaprzecza, wyje i szumi nad czołem,
Że róża — prochem, a ogień — popiołem,
Popiołem szarym i prochem szkarłatnym!
Więc, gdy łzą oczu rozszemrzą jeziorność
Ku ostatniemu na błękitach cieniu,
Ofiarowują całemu stworzeniu
Zaranność modlitw i skruchy wieczorność, —

Ofiarowują mu wszystkie swe zorze,
Prócz tej, że sen ich powtórzyć się może...

* * *

Skąd oni rodem? Z czyjego kochania?
I kto takiego udzielił im chrzestu,
Że pierś ich nigdy nie jest bez śpiewania,
A skrzydła nigdy nie są bez szelestu?
I kto ich zmyślił? Kto wywiódł ich z marzeń?
I dla jakiego pod ziemią powodu?
I dla jakiego na ziemi ogrodu?
Dla jakich jeszcze na niebie wydarzeń?
Kto pierwszy wyznał, nad czyją mogiłą
To słowo: anioł, skrzydłami objawne,
I czemu wyznał tak dziwnie, że było
Odrazu święte, odrazu pradawne?

I czemu, w zgony zapatrzon słoneczne,
Tym, których niema, dał imię tak wieczne?

* * *

Niema ich nigdzie i w żadnej ustroni, —
Ni cnót ich śpiewnych, ni żądz nieugaśnych,
Ni harf, grających pod męką ich dłoni,
Ni surm, wiecznością i bronzem hałaśnych!
Trudno mieć wiarę w tę bajkę zaklętą,
Jak trudno czasem żal rozbiałośnieżyć
W postać łabędzia z szyją, snem przygiętą...
I ja w nich nie chcę, nie mogę uwierzyć!
Ni w to, że Bogu w marzeniach się roją,
Ni w to, że skrzydłem od grzechu mię strzegą, —
A jeśli śpiewam, to tylko dlatego,
By zakłopotać ich bólem pieśń moją, —

I by niewiary sromotę bezsterną
Pokrzepić pieśnią pokłonną i wierną.

ODDALEŃCY

WOBEC MORZA.

Rybacy, którym połów nie udał się złoty,
Zdala od mórz zdradliwych i brzegów ponętnych,
Wszelkiej głębi naprzekór — z sieci obojętnych
Rozpinają na puszczy błękitne namioty.

— »Marny ten, co,
przypływów chłonąc niewyśpiewność,
»Wierzy, iż sieć jest siecią, a połów — połowem!...
»My, zbadawszy istnienia
dwuznaczność i zwiewność,
»Z sieci namiot uczynim pod niebem jałowem!

»Namiot — bezużyteczny! Lecz w rozwianej grzywie
»Jego fałd, zbytkowniejszych nad wszelkie istnienie,
»Przepych nudy rozzłoci swe czary i cienie!« —
Tak się owi na puszczy chełpią niechełpliwie!...

Oddaleńcy! Raz jeden zbłąkani wśród szlaków,
Już się nigdy nie zbliżą do własnej oddali!

Nikt w nich teraz nie pozna wesołych rybaków,
Zwinnych nurków, rabusiów pereł i korali!

Jak pieszczochy przeznaczeń, których nic nie cieszy,
Drwią z gwiazd morskich purpury,
z mew bielszych od mleka,
Żagiel, burzą wydęty, tylko ich rozśmieszy,
A szum fali przypomni, że czas się przewleka.

Przewleka się zabawnie, dziwacznie, misternie
Po najwiotszej gałęzi, po najcieńszym cieniu...
Zbliż się do nich, zawołaj tylko po imieniu,
A, jak ślimak swe rogi, pokażą swe ciernie!

Lecz nocą sen, płonący każdemu ku chwale,
Da im pić z tego źródła, skąd nie pili zrana...
Wtedy warga ich blada, snem ucałowana,
Wyrzuca szepty-perły i jęki-korale!

Jadowita a szczera tego snu ułuda
Tak im duszę przez usta dobywa boleśnie!
Roniąc perły, korale — śnią, jak morskie cuda,
Którym dano być sobą na chwilę i we śnie...

ICH OBLICZA.

Ich oblicza — to pisma tajemne, wstydliwą
Treść smutku skrywające w niewidzialnym wsiewie.
Dość je ognia szkarłatną podrażnić pokrzywą,
By — sparzone — zjawiły swych liter zarzewie!

Wtedy, zbrojąc swe oczy miłości rozsądkiem,
Można czytać je w świetle księżyca lub słońca,
A że koniec nadziei jest zgrozy początkiem,
Więc najlepiej je czytać z uśmiechem — od końca!

Jedni, na dzień zaledwo mając zasób miodu,
Wyszli w podróż na długich lat tysiąc, jak bogi, —
I, wypiwszy miód do dna, w poprzek własnej drogi
Pokładli się, bezsilni od strachu i głodu!

Drudzy na winobrania chwilę umówioną
Spóźnili się o całą niedomówień dobę,
Gdy już ścięto owoce i nie zostawiono
Nic, prócz wiatru, co ziewa na pustki żałobę!

A innym, co się z losem pogodzić nie mogą,
Pieśń na wardze skonała — tak dobrze zaczęta!
Więc nie chcą taką wargą całować nikogo
I — chmurni — omijają zdziwione dziewczęta...

A są jeszcze i tacy, którzy w noc i słotę
Nie dobrej, lecz najlepszej czekając Nowiny,
Wykrzesali z dusz głębi skry dziwne i złote,
Oprócz owej najzłotszej, naprawdę jedynej!

Tych dusze — to wróżbiarki, co w księżyca pełnię
Z sennika wypatrują zjaw, swemu podobny,
Ten sam prawie z pozoru, tak samo żałobny,
Lecz zawsze tylko — prawie, a nigdy — zupełnie!

POŚPIECH.

Gdy zorza do poddaszy czatowni nadchmurnej
Z poza kraty szyb błyśnie, jakoby z za krzaka,
Ich mieszkaniec, dla nizin podobny do ptaka,
Opuszcza swój gołębnik wyniosły i górny.

Gnany złudnych pośpiechów natrętną ostrogą,
Która dzwoni wesoło, a krwawi boleśnie,
Biegnie w świat, że mu w szybie zapłonął, jak we śnie,
Kłamiąc oku skróconą w szyb ślepocie drogą...

Zda się, iż o tej właśnie, a nie innej porze
Dano mu, badaczowi swej własnej mitręgi,
Stopą, ścieżyn igraszką, wbiedz na widnokręgi
I całym widnokręgiem owładnąć w przestworze!

Po skałach urojonych, wśród marzeń rozłamów
Zbyt pośpiesznie się skrada, zbyt trwożliwie płoni,
Jak kochanek przed schadzką, lub podpalacz chramów,
Mdły ogień unoszący w półcieniu swej dłoni...

Dokąd śpieszy wieczorem on, co nawet w nocy
Nic nie ma do szepnięcia, nic do podpalenia?
Czy do chłodów ołtarzy? Czy do zórz olśnienia?
Czy do zdrojów miłości, wrzących od niemocy?

Nie! On niegdyś,
snów pierwszych złudzony jałmużną,
Ujrzał siebie gdzieś —
w ledwo stworzonym zaświecie,
I teraz niespokojny, raz jeszcze, napróżno
Sam do siebie się śpieszy! Wy mnie rozumiecie?...

KLĘSKA.

Na jeziorze zatańczy niedobłysk miesiąca,
Pół wiatru w las uderzy, drugie pół — w dolinę!
A ten, co nie chciał zemdleć od marzeń gorąca,
Wstąpi nagle pół-duszą w tych marzeń krainę.

On tu królem z wyboru! Czemuż tak niepewny?
Czy rdza berło mu zjadła? Wszak tu — jego trony!
Zapragnie — a na puszczy, piaskami strawionej,
Tryśnie ruczaj — gwiazd łowca —
głębinami śpiewny!

Skinie — a żar upojeń, mocniejszych od wina,
Rozpłonie w srebrze kości i w krwi jego złocie!
Szepnie — a najpiękniejsza
z umarłych dziewczyna
Zbudzi się, by go w tajnej kołysać pieszczocie...

Rozkaże — a wzniesiony nad padoły senne
Taniec widm samowzlotnych — serdeczny i hardy —

Zdepcze stopą zuchwałą wraże, bezimienne,
Wzajem siebie w ciemnościach liczące miliardy!...

Lecz on nawet w marzeniu — marzenia się wstydzi,
I dumny, że zaniedbał swych bogactw ogromy,
Choć go zdala olśniewa ich połysk widomy,
Udaje, że połysków takich — niedowidzi...

Jego bujne ogrody, szumiące mu chwałę,
Zbyt dawno zapuszczone, a niedość zaklęte,
Tracąc alej zawiłość i szumów ponętę,
Zapadają się w bagna, od westchnień nabrzmiałe!

Dość mu tylko rozkazać, zapragnąć lub skinąć,
By je zbawić! Lecz — drwiący, zimniejszy od głazu,
Choć rozumie, jak ciężko rozszumiałym ginąć,
Milcząc, patrzy na klęskę! — Nie daje rozkazu!...

DLA LEGENDY.

Często wróżbiarz, co własnej nie wywróżył doli,
Nagłym skokiem na trwogę i bladością czoła
Skupia widzów, krwi żądnych, i szerzy dokoła
Postrach, niepozbawiony zgrozy i swawoli!

Cały w znakach piorunnych i piętnach zagłady
Przed oczyma ciekawych obnaża sam siebie —
I nagi aż do nieba, bezwstydny i blady
Czuje się bohaterem, jak trup na pogrzebie!

Aktor, godny za widza mieć boga w niebiosach,
Choć sam wpada w wytrawne
swoich guseł szpony, —
Marząc skrycie o rajskich zaciszach i rosach,
Z uśmiechem wyczekuje ostatniej zasłony!...

Bo wie,
że gdy na śmierci niebotycznych szczudłach
Przeskoczy ziemskich źródeł zwierciadła i kwiaty,

Pozostawi legendę, odbitą w tych źródłach,
O straszliwym rycerzu, co niegdyś, przed laty...

Tak! — dla niej, dla niepewnej, dla swojej dalekiej,
Że go może przygarnie — wiernego przybłędę —
Nie szczędzi niecnych trudów i dziwnej opieki,
I krew mężnie przelewa — za baśń, za legendę!

Bo ta siostra wieczności, kwiaciarka wspomnienia,
Gdy go w gmachu zaklętym na śmierć ukołysze,
Obdarzając istnieniem zdala od istnienia,
Da mu w jednym napoju — i tryumf i ciszę.

A zdzierając zeń ziemską powłokę obłudy
I zdobiąc pierś rycerskiem złotem i żelazem,
Na ów cud go pasuje, ażeby zarazem
I był sobą i nie był!... O, cudzie nad cudy!

I kiedyś czyjeś usta, zbudzone ku wiośnie,
Szepną o nim na pamięć choćby jedno słowo,
Lub przyśpiew nieodparty, lub gwiezdną przenośnię,
Która duszę z wszechświatem spokrewnia na nowo!...

SCHADZKA.

Czy nie słyszysz, jak obłok porusza się senny?
Jak noc ciszą pogłębia dna ciekawy strumień?
A w alejach szeleści niepokój płomienny
Księżycowych powikłań i nieporozumień...

Śpiesz się, dziewczę, spragnione pieszczoty bezkreśnej!
Śmierć i miłość zna tryumf umówionych godzin!
Twój kochanek cię czeka od dnia swych narodzin,
Wierny tobie współtrwogą, tęsknotą — rówieśny!

Niech twe lico dla niego zakwitnie różowiej,
Niech osłabną ramiona, białych piersi stróże!
Burzą włosów upojnych marzenia mu owiej,
By miał w życiu tę jedną, nie wrogą mu burzę!

Lecz nic nie mów o sobie — czemu tak nieznana?
Skąd przybywasz i dokąd odejdziesz za chwilę?
I dlaczego twe nogi tak we krwi i w pyle,
Że całować je mało od nocy do rana?

Ani jego nie pytaj, dlaczego spotkanie
Tak opóźnił? Dlaczego oczyma nie śledzi
Twych oczu? I czy kocha? Bo wszelkie pytanie
Jest wrogiem mimowolnym własnej odpowiedzi!...

Milcz i całuj! — Milczeniem pieszczota się krzepi,
I niezgorsze wesele tkwi w dobrej żałobie!
Wszak nie można się kochać żarliwiej i ślepiej,
Jak tak właśnie: nic wzajem nie wiedząc o sobie!

UCZTA.

Nieco drwin i objawień i nieco bezczasu
W mroku czujnych podziemi — a uczta gotowa!
Tak się schodzi samotnych ciżba pogrobowa
Na obrzęd wspólnej ciszy, wspólnego hałasu.

Tu — w tem gnieździe,
zbyt twardem dla piskląt porodu,
Każdy resztę swych braci wzrokiem niepokoi,
Aby zbadać, czy giną, jak mężom przystoi:
Nie bez szczęku zbroicy i nie bez powodu...

Ci, co wpośród ginących z wytrwałości słyną,
Lubią skrzydłem zaszumieć,
jak czarty lub ptaki, —
I, ssąc wargą królewską byle jakie wino,
Zezem duszy pochwycić sen nie bylejaki!

Gdyż oto zachowali przebiegle za stołem
Puste miejsce w nieznacznem na pozór uboczu

Dla gościa, co przybiegnie z wieńcami nad czołem
I rozwidni podziemie błyskawicą oczu!

Znany w gronach aniołów z upojeń i śmiechu,
Tępiciel żmij na słońcu, wesela podczaszy —
Szmer pokątny skinieniem swej fletni wystraszy
I przywróci dźwięk czysty wszelakiemu echu.

Znawca uczt doskonałych, przodownik marzenia,
Nie mogąc ucztujących odróżnić od chmury,
Każe dzwonić kielichom godzinę zbawienia
I napełni je winem starem, jak lazury!

Lecz próżno, gdy ich wabi mgła widzeń słoneczna,
Nasłuchują, azali podwojów ościeże,
Ze snów rdzawych zbudzone —
skrzypną swoje: »wierzę!« —
Gość nie przyjdzie —
a uczta dla smutnych zbyteczna...

ICH SZATAN.

Ich szatan, utraciwszy święty zapał grzechu,
Lekceważy swe ognie trawiące i czary.
Niespodziane wybuchy nadziei lub wiary
Psują mu doskonałość szatańskiego śmiechu.

Marząc nowe kuszenia i nowe chichoty,
Włóczy się, jak bez celu, ten łotr zadumany, —
I, jakoby księżyca niezmienne odmiany,
Trapi go myśl, krążąca dokoła tęsknoty...

Próżno szuka płomienia dla swoiei pochodni
I barwy dość piekielnej dla świetnych sztandarów:
Chwiejność grzechu samego, trudny wybór zbrodni
Igra mieczem, wiszącym u boku zamiarów!

Więc wybrednie bezczynny, a pełen olśnienia,
Jak wniebowstępujący na wieczną weselność, —
Okiem, chciwie zmrużonem, z rozkoszą ocenia
Swych odświętnych wywczasów ochoczość i dzielność

Bo w pazurach swobody, pozornie pastuszej,
W usilnem niewkraczaniu we własne bezedno —
Tkwi niejedna tortura i piekło nie jedno,
Godne nawet najbardziej nieśmiertelnej duszy!

On wie o tem — ów śmiały wróg samego siebie!
I tem właśnie, iż wszelkich poniechał zabiegów,
Gotuje nowe męki dla nowych szeregów
Czcicieli kół zaklętych i pląsów po niebie!...

Na wzór mężnych serafów haftując swe szaty
Dzwonnem złotem tryumfów, — ten truteń obłoczny,
Wsłuchany w swych upadków zwycięskie wiwaty,
Resztki nieba rad wyssać z kałuży pomrocznej!...

Bo, w zmierzch piekieł zużytych wzierając niechętnie,
Śni idylle niebiańskie, a chytrze swe lice
Odmładzając w błękitach, — pradawną różnicę
Między sobą a bogiem niweczy doszczętnie!...

NIEZNANEMU BOGU.

Jednym — jarzmo kochania,
drugim — nędzy brzemię,
A im — tylko modlitwa dumne zgina karki!
Szept, z piersi wyzwolony, ulata nad ziemię,
Jak motyl, co pamięta, że wyszedł z poczwarki.

Lecz, by z tłumem
we wspólnem nie spotkać się niebie
I modlitwie samotnej ująć tego sromu,
Wyciągają rąk sploty daleko przed siebie,
Do boga, nieznanego — zaiste! — nikomu.

Najwyższy a pozornie najuboższy z bogów
Wzgardził tem, co widzialne, dostępne dla czasów,—
I nie stworzył pól szumnych, ni jezior, ni lasów,
I nie spoczął na złocie ołtarznych barłogów!

Hufy konnych aniołów snu jego nie strzegą,
Ni go poją kadzideł wonności i żary!

Nikt się nigdy — zaprawdę! —
nie modlił do niego,
Nikt mu za nic dziękczynnej nie składał ofiary!

Tylko oni w modlitwie od wieków najpierwszej
Wzywają, aby zwolił w prześladowań święto
Zginąć śmiercią, co gałąź żywota zwichniętą
Krwawem kwieciem męczeństwa
dostojnie zawierszy!

Trwożni nasłuchiwacze szmerów i półgłosów
Darmo się pochylają nad brzegiem otchłani!
Męczennicy, nadzieją ostatnią chłostani,
Nie mogą się doczekać należnych im stosów!...

Ale ów bóg, przed którym nie wszyscy są równi,
Widząc ich w całej bólów brzydocie i pięknie,
Pamięta, jak mu tęczą bywali wysnówni —
I, jeżeli ma serce — ono dla nich pęknie!

METAFIZYKA.

Kraina, gdzie żyć łatwiej i konać mniej trudno, —
Gdzie wieczność już nie tajnie wystawa na straży
Trosk doczesnych, —
gdzie bardziej jest bosko, niż ludno, —
I gdzie każdy za wszystkich nie cierpi — lecz marzy!

Są tu sady bez wyjścia i groble, nad szybą
Owej rzeki wyśnione, co kiedyś wytryśnie, —
I niejeden tu pałac w zagąszczu ci błyśnie,
Godny tego, by nie był niczyją siedzibą!

Są tu w lasach mrowiska, wzniesione nad drogą,
Gdzie wre praca snów rojnych —
odwieczna i bratnia, —
I jest tu owa cisza błękitna, ostatnia
Z tych, co jeszcze na uśmiech zdobywać się mogą.

Tylko czasem na polu jakiś krzyż skrzydlaty
Wiatraka, mielącego mgły marzeń i ciernie,

Brakiem boga na sobie zlękniony niezmiernie, —
Szaleje i skrzydłami uderza w zaświaty!

Bywalec tych uroczysk, powabnych swym tronem,
Umie błysków najmniejszą wyśledzić nieznaczność,
I w szczelinie pomiędzy istnieniem a zgonem
Dojrzeć gwiazdę niezgorszą, lub niezłą opatrzność...

Lecz się nigdy nie strwoży, rozumnie zbłąkany,
Bezkrólewiem w niebiosach, lub własnego cienia
Zgubą w jarach, — lub zbytnią łatwością zamiany
Jednych cudów na drugie...
Niech cud się też zmienia!

Jego tylko tu nęci niezwiedzona grota,
Lub kwiat jeszcze nieznany,
lub muszla co rzadsza, —
I na wszelki przypadek wtórego żywota
Duszę swoją w te dziwy chętnie zaopatrza...

On tu przyszedł sam przez się, by własne szaleństwo
Karmić strawą najlepszą na ziemi i niebie, —
I nad brzegiem przepaści wytańczyć dla siebie
Jeden lęk drogocenny lub niebezpieczeństwo!...

TA OTO GODZINA.

Zamarły róż okrzyki ku słońcu w wyżynie,
I lasów rozechwianych śpiew — o samym śpiewie, —
Szmer przykazań miłosnych
w płomienistym krzewie —
Wszystko nagle zamarło w tej oto godzinie!

A życie wśród zamarłych tak łatwo się płoszy,
Że samochcąc przelana domyślnym strumieniem
Krew własna —
purpurowem jest tylko stwierdzeniem
Tego, co już się stało!... O, stwierdzeń rozkoszy!...

Twój wybraniec, dbający o cześć swej korony,
Na miecz ją w swoich ogniach przetopił samotnie,
I miecz, ostrzem ku światu tak długo zwrócony,
Zwróci teraz ku sobie — natychmiast, bezzwrotnie!...

Lecz jarzma wyczekiwań nie wdzieje na szyję,
Nikomu nie zawdzięczy przepychu swej męki!

Choć życie przyjął z ręki jakiegoś: »Niech żyje!« —
Śmierć — ów pokarm ostatni —
przyjmie z własnej ręki!

Śmiało w ślepie zaziera szalonej ochocie
On, co więcej zdobywa, aniżeli traci!
Niech mu dusza nie będzie leniwą w odlocie!
Niech się serce o jeden miecz jeszcze wzbogaci!

Bo może w tej godzinie, w tej najmniej zwodniczej
Znajdzie w sobie godnego swej napaści wroga,
I, rażąc siebie mieczem, spragnionym zdobyczy,
W piersi własnej — własnego dorąbie się boga!

TOAST ŚWIĘTOKRADZKI.

Żem nieraz wchodził z wami w złośliwość zażyłą,
Mistrze zgrzytów i chrzęstów,
z których pieśń się czyni,
Więc mi dano się o was zadumać w świątyni,
Gdzie już nic się nie staje, prócz tego, co było...

Tu — wybucha z witrażów tak tęczowy płomień,
Że ty — bogu, a tobie — bóg wyda się tęczą,
I obydwaj, zarówno pełni oszołomień,
Posłyszycie,
jak wasze westchnienia współdźwięczą.

Lecz ja dłoń świętokradzką wyciągam w rozblaski
Aż po kielich, drzwi złotą dwutarczą strzeżony!...
Na dnie jego krwi Pańskiej koral zaczajony
Ustom, skorym do wina, nie poskąpi łaski!

Więc, gdy mi takie wino uderza do głowy
Mocą nieba całego aż do nieboskłonu, —

Czyż nie jestem — o, bracia, nieufni do zgonu, —
Opojem z nad lazurów i sam — lazurowy?

Czyliż teraz mój okręt, szalony beztroską
Dość się hardo na zdradnej nie załamie rafie?
I czyż — bóstwem pijany — do was nie potrafię,
Znawcy znawstwa samego, przemówić dość bosko?...

Za wszystkich, których słońca promienista rózga
Chłoszcze za żądz natręctwo i skrzydeł bezbożność,
Aż ich kiedyś — złocących swej kary wielmożność —
Grom, zawistny o złoto, w proch cenny rozdruzga!

Za skazanych na znoje czatów i wywiadów —
Gdziekolwiek się wałęsa ich płonna tęsknota!
Za tych, co, mając żądła, poszukują jadów —
Gdziekolwiek ich przydybie ta żądeł zgryzota!...

I za tych, którym nagle, na wiosnę czy jesień,
By pogardzić kwiatami, — nie dostało chwastu!...
I za tamtych, co z wszelkich uniesień lub wzniesień
Warci jeszcze takiego wzniesienia toastu!

Za tę całą drużynę zgiełkliwą i rojną,
Co otuchę donośnym wezwałaby rogiem, —
Za ich żywot pokrętny i śmierć niespokojną
Wznoszę kielich, po brzegi pieniący się bogiem!...

POEMATY ZAZDROSNE

TARCZA.

Prócz mnie — nie będziesz miał oblubienicy,
Prócz mnie — nie ujmiesz innego zwierciadła,
Byś w niem się własnej odeśnił źrenicy,
Do mosiężnego podobien widziadła!
Żadne ci dziewczę różanem brzemieniem
Kruchego ciała — ramion nie obarczy,
Ni warg znikomem nie skala imieniem, —
Rycerzu! wiernym pozostań swej tarczy!
Ja ci przechowam, odbite w mem łonie,
Doliny, góry, jeziora, niebiosy, —
Ja wrażych mieczów pogróżki i ciosy
W śpiżowe hymny dla ciebie rozdzwonię!
Twój sen lękliwy uzbroję swą chwałą,
Aby mógł śnić się bez trwogi, bez skazy!
Obronię ciebie miłością wytrwałą
Od złego ognia, od rdzawej zarazy!
Obronię ciebie od wszelkiej tęsknoty
I od uroku zatrutych strumieni, —
Od burzy czarnej, szkarłatnej i złotej,

I od tej, co się po grobach zieleni!
Od niepamięci błękitnych pocisków,
Których się orły w niebie nie ustrzegą!
Od zemsty bożej, od ciebie samego
I od mych własnych ku tobie rozbłysków!

A gdy już w ciszy, pod moją obroną
Pierś twa dojrzeje w kwiat wielki i wonny,
Wtedy jej żadną nie kalaj osłoną
I bądź mi — nagi, i bądź mi — bezbronny!
Nie poskąp krwi swej, ni serca, ni ciała
Pazurom bogów, aniołów lub sępów!
Nie wzbraniaj światu, co tęskni i pała,
Nieprzeliczonych do duszy dostępów!
Choćby cię zgrają opadły zaciężną
Wylęgłe w słońcu upiory i płazy,
Ty — pierś, śpiewowi na wieki przysiężną,
Odsłoń na ognie, na rdzawe zarazy,
Odsłoń ją nagle na wszelką tęsknotę,
I na uroki zatrutych strumieni,
Na burze czarne, szkarłatne i złote,
I na tę, co się po grobach zieleni!...
Na odtrąconych ukochań powrotność,
Na różobrańczą wichury swawolę,
Na wrzaski orle, na żądze sokole
I rozszalałą istnienia samotność!

Często o tobie sny miewam mosiężne
I o tej chwili — i mojej i twojej, —

Gdy, bezbronnością wyzwolon ze zbroi,
Dosięgniesz tego, co nie jest dosiężne!
Gdy żaden odzew prawdziwy lub mylny
Nie ujdzie twojej stubramnej gościnie,
I gdy świat cały, ku tobie pochylny,
W zaświecie twoim, jak w morzu, zaginie!
Gdy, spłonion ku mnie zniechętą słoneczną
I przytakując zadumie brwią ciemną,
Mnie — już spełnioną, czarownie zbyteczną —
Ciśniesz o ziemię w niepamięć nikczemną!
A ja się z jękiem u stóp twych rozpadnę
Na ognie błędne, na rdzawe zarazy,
Na dzwonnej śmierci ostatnie rozkazy
I zanieśpiewań lamenty kaskadne!
Na wszelką niemoc, na wszelką tęsknotę
I na uroki zatrutych strumieni,
Na burze czarne, szkarłatne i złote,
I na tę, co się po grobach zieleni!...
Na mchy i bluszcze, wypełzłe odziemnie
Ku podeptanej mych śpiżów ruinie,
I na to wszystko, co zginąć ma we mnie,
I na to wszystko, co w tobie nie zginie!

OGRÓD ZAKLĘTY.

Tak mi mówili aniołowie,
Co znają prawdę, skrytą w słowie,
Że tam, gdzie, wisząc nad przestrzenią,
Brzegi wieczności się zielenią,
Przedarłszy czasu mdłe osłony,
Wzgórzami tęsknot otoczony,
Zakwita ogród niezbadany,
Zaczarowany, obłąkany —
Zaczarowany skonem zorzy
I obłąkany mgłą bezdroży!

Więc, wizyą skrzydeł spromieniony,
Szedłem w cudowne owe strony,
Poprzez stężałych snów urwiska,
Przez dawnych bytów uroczyska,
I napotkałem w swej podróży
Zerwanej niegdyś widmo róży,
I mary lilij, co w przestworze
Na widziadlanem tkwią jeziorze.

I spotykałem śród rozdołów
Omszone zwłoki tych aniołów,
Których Bóg strącił w te bezdenie
Za potępieńcze serc płomienie.
I spotykałem senne kraje,
Gdzie wszystko mgłą i mgłą się staje,
Gdzie się kołysze w mgieł odmęcie
Dziwaczny okręt przy okręcie,
A melancholii słodkie fale
Przez ich pokłady mkną niedbale
I w bezpowrotne płyną dale!...

Aż wreszcie, depcząc pierś obłoku,
Jakiegoś Boga mając w oku,
Z duszą na wschodzie i zachodzie,
Stanąłem blady w tym ogrodzie!
Tam każde drzewo jest zaklęte,
Tam są topole wniebowzięte,
Kaskady drętwe, w snach skąpane,
Mocą obłędów sfałdowane,
I takich jezior tonie sine,
Że straszno spojrzeć w ich głębinę,
Że straszno spojrzeć w ich zwierciadła,
By twarz ci nagle nie pobladła,
Gdy ujrzysz skryte w nich widziadła.

Pod jednem drzewem niezbadanem,
Zaczarowanem, obłąkanem,

Gdzie każdy liść od marzeń kona,
Nawpół stworzona, wpół wyśniona,
Królewna cudna odpoczywa!
Z skroni jej warkocz wonny spływa,
Spływa i wpływa w alej głębie,
Zwisa na każdej skały zrębie,
Po wszystkich ścieżkach tak się ściele,
Jak czarodziejskie jakieś ziele,
A w górze — srebrem pałająca,
Niewyczerpana głąb miesiąca!

Mów mi, królewno moja blada,
W jaki się mrok twój sen zapada?
I z jakich stron twych oczu dale?
I z jakich mórz twych warg korale?
I z jakich piekieł twe warkocze,
Po których drżący teraz kroczę?
I mów mi, w jaką wiodą stronę
Warkocze twoje nieskończone, —
Bo mnie na wiek, na wiek już cały
Warkocze twoje opętały!

Ach! idźcie wszyscy, idźcie ze mną
Ku niej — w krainę ponadziemną,
Lecz nie pytajcie mnie (o, Boże!
I któż mnie spytać o to może?)
Gdzie jest ten ogród, gdzie te światy,
Do których wszystkie tęsknią kwiaty,

I wszystkie dusze snem ozdobne,
Co są do kwiatów tak podobne!
I skąd ta powieść moja zwiewna?
I czem jest cudna ta królewna?
Bo choć mi serce rozpłomienia, —
Już nie pamiętam jej imienia!
I choć mi zawsze taka bliska, —
Już nie pamiętam jej nazwiska!

Lecz wiem, że ogród ten istnieje,
Że tai własne moje dzieje,
Ach! dzieje straszne, niezbadane,
Zaczarowane, obłąkane,
Bo mi mówili aniołowie,
Co znają prawdę, skrytą w słowie,
Żem tam, gdzie wisząc nad przestrzenią
Brzegi wieczności się zielenią,
Przedarłszy czasu mdłe osłony,
Wzgórzami tęsknot otoczony,
Zakwita ogród niezbadany,
Zaczarowany, obłąkany!
Zaczarowany skonem zorzy
I obłąkany mgłą bezdroży!

BALLADA O DUMNYM RYCERZU.

Śpi owo rycerz, śpi bezrozumnie
I raz na zawsze — w dębowej trumnie.

Leży wygodnie, bo się ułożył
Tak, aby nigdy snu nie zatrwożył...

Jego kochanka z różańcem w ręku
Zawodzi, pełna skargi i jęku:

— »Przyszłam ci wyznać moje niemoce,
Że nie wiem, jak tam spędzasz swe noce?...

Bo odkąd w ciemnym nocujesz grobie —
Ani ty przy mnie — ni ja przy tobie!

Kochałam oczy i usta twoje,
Wczoraj kochałam, dzisiaj się boję!

Boję się szatą w mrok zaszeleścić,
Boję się w myśli ciebie popieścić!...

Trzy dni się w myśli twój czar promienił,
Dziś nie wiem, ile grób cię odmienił...

Ani mi z tobą łoża podzielić,
Ani urodą swoją weselić —

Darmo przymuszam uparte ciało,
By się twym oczom podobać chciało!

Przy tobie martwym — ja nieszczęśliwa
Wstydzę się jeno, żem jeszcze żywa!...«

Rozważył rycerz, że w słowach — zdrada,
I, po dawnemu leżąc, powiada:

— »Choć mi robaki oczy wyżarły, —
Nie wstyd mi tego, żem już — umarły!...

Chociaż podziemiec jestem nikczemny, —
Nie wstyd mi tego, żem już podziemny!...

Taką mam sytość i przepych w próżni,
Że mnie od króla Bóg nie odróżni!

Taka noc błysła nad życia zbiegiem,
Że mi świat cały — jednym noclegiem!

Ani mi słońca, ani mi nieba,
Ani miłości twojej potrzeba!

Ani mi zemsty w onej ustroni,
Gdzie krew nie szemrze i miecz nie dzwoni!

Nie znasz ty dumy, nie znasz pogardy
Tych, którzy w ziemi posnęli twardej...

W piersi ich — wielka ciszy potęga
I żaden zawód ich nie dosięga!

I nawet z resztek zsiniałej wargi
Nie wydobędziesz jęku, ni skargi!

Oto w pobliżu mam ja sąsiada,
Co już od serca w proch się rozpada.

Ten ci jest śmiercią ode mnie starszy, —
I śpi, na żmijach głowę oparłszy.

Lecz co przecierpiał i co zobaczył, —
Nawet półszeptem wyrzec nie raczył!

Nie ulżył jękiem niemej żałobie,
Nie wyznał nigdy, co przeżył w grobie!...

A wszak ci w trupach taka moc bywa,
Że trup i w grobie wiele przeżywa!

Lecz Bogu chyba, w dzień zmartwychwstania
W twarz rzuci wzgardę swego wyznania!«

I zamilkł rycerz — dumnie i godnie
I po dawnemu leżał wygodnie.

Jego kochanka z różańcem w ręku
Odeszła, pełna wstydu i lęku...

PANTERA.

Ani mię zgnębią zórz krwawe zawiście,
Ni złote groźby słonecznej potęgi!
Grzbiet mój w złość słońcu czerni się plamiście
W przeciwsłoneczne, przeciwzłote pręgi!...

Gotowam słońce rozszarpać na ćwierci!
Na ziemi — ryk mój, milczenie me — w niebie...
Z nieznanych światów czaję się na ciebie
Ja — rozpląsana dookoła śmierci!

Przeciwzłocącą się — porwij w ramiona,
Bym z ciebie życia wyżarła niemoce,
Bym czuła nozdrzem ten szał, że ktoś kona
W chwili, gdy ja się słońcu przeciwzłocę!

W róże mię uwieńcz, w zmierzch winnicy prowadź,
W pałaców głębie — na marmur i kwiaty,
Gdzie win purpura i śmiechu szkarłaty
Chcą falę życia od dna rozfalować!

Wśród dziewcząt -- jedna jest tylko w żałobie,
Niepewna losu... zapatrzona w cienie...
Jej ciało — biały sen o samej sobie,
Tym snem objęta — czeka na skinienie.

Rzuć ją w mą żądzę, w puchy mego łona,
Na okamgnienie — nie na długie noce,
Bym nozdrzem czuła szał, że miłość kona
W chwili, gdy ja się słońcu przeciwzłocę!...

Ten, kto mię stworzył dla krwi i pieszczoty,
Dał mi skok zwinny, co w śmierć mię przerzuca,
Kły moje wygiął w kształt własnej tęsknoty
I własnym rykiem natężył me płuca!

On we mnie ryczy, szaleje zbłąkany
W moich żył sieci i kości gęstwinie!
Raniąc mię, sobie zadaje te rany,
Które mi w gniewu przeznaczył godzinie!

On razem ze mną hen — w dzikim ostępie
Z wiecznym się głodem w zapasach szamoce,
A ja z nim wspólnie zmorę życia tępię,
I z nim się wspólnie słońcu przeciwzłocę!

Kimkolwiek jesteś — czy Lwem niewidzialnym,
Czy wszechobecnym raczej Jaguarem, —
Węszę twe tropy w błękicie upalnym
I kuszę ciała wonnego wyparem!...

Wyjdź na swe żery z jaskini lazurów!
Otom — gotowa!... śnij uczty weselne!
Chcę być radością dla twoich pazurów,
Chcę krwią upoić twe kły nieśmiertelne —

I chcę cię zdradzić, gdy przywrzesz do łona,
Pokąsać w strzępy twą wieczność, twe moce,
By chłonąć nozdrzem ten szał, że Bóg kona
W chwili, gdy ja się słońcu przeciwzłocę!

SIDI-NUMAN.

Słynny w całym Bagdadzie z rycerskiej ogłady
I z płomiennej miłości dla białej Aminy,
Sidi-Numan przeklina szczęk owej godziny,
Kiedy nazwał małżonką — ciało, pełne zdrady!

Śniąc zemstę w głębi alej, wśród róż i motyli,
Wahał się, by nie była czcza i bylejaka, —
Aż zaklęciem, w odwetów wyszeptanem chwili,
Przeobraził niewierną w białego rumaka!

Stanął rumak, nieświadom cudu nagłych wcieleń,
Oczy, we łbie obrzmiałe, natężył, jak pięście,
Dziwiąc się i dąsając, że soczysta zieleń
Nęci go w smakowitym wietrzyka pochrzęście...

Pełen żądz niespodzianych i nagłych rozjuszeń
Krwi szkarłatnej, co w żyłach samochcąc szeleści,
Próbował nowych skoków, pląsów i poruszeń,
Jawiąc w skokach i pląsach dawny czar niewieści...

Sidi-Numan go przybrał w uprząż złotowzorą,
Zlewał na wrzące ciało balsamy i nardy —
I poglądał z uśmiechem zwycięskiej pogardy
Na ogon zbyt opędny i na kopyt czworo.

Badał grzywę —
twór zaklęć i tajemnych przyczyn, —
I zęby — zgodne perły na dziąseł purpurze, —
I, karmiąc zwierzę miodem dojrzałych koniczyn,
Czasem,
w tkliwej zadumie podawał mu — róże...

Gdy słońce, roztopione w południa bezszumy,
Cisnęło na pierś ziemi cały żar wszechświata,
Sidi-Numan podeptał resztki swej zadumy,
Zaśmiał się, krzyknął: »Allach!«
i — dosiadł bachmata!

Widział go cały Bagdad, jak, ziejąc zniszczeniem,
Pędził pełen tygrysich złości i rozścierwień, —
Jak zatapiał ostrogi w ran chrapliwą czerwień
I zgrozę chłost oślepłych podwajał — milczeniem!

W oczach, lotem obłędnych, schwytane przedmioty,
Jak w lustrze wirującem, mąciły odbicie:
Drzewa, ptaki, jeziora — i miłość i życie —
Wszystko w nic się zemgliło,
w kurz zaledwo złoty!

W tym kurzu,
gdzie się wspomnień złociła czereda,
Ryczał zwierz, nowym bytom na pastwę oddany!
A jeździec chłonął rozkosz zemsty dokonanej
I doznawał upojeń, jakich miłość nie da!

WIECZORY.

Wieczory moje, minione wieczory,
Widmem pierścieni złotych i bransolet
Zdobiące sosen pordzewiałe kory
I brzóz biel nikłą!
Szkarłat i fiolet
Snem powikłanym znoją się na chmurach,
Nim się chmur brzegi mgłą zieleni omszą
I w dym zszarzeją w spalonych lazurach.
Głębina parku staje się znajomszą
Nozdrzom, co węszą całe gniazda woni
W zagąszczach krzewów, bo, nabrzmiałe zmierzchem,
Kwiaty rozpustniej swych pyłów rozpierzchem
Drażnią powietrze, przypadłe do skroni
Ziemi, podziemnym opętanej szałem
I czyhającej na zejście niebiosów
Do jezior głębi...
W uciszeniu białem
Oparów, w nic się złocących powoli,
Włóczy się mrowie snów, przysiąg i losów

Niczyich, własnej zostawionych doli,
Nieprzynależnych, prócz siebie, nikomu!
Dusza w tem mrowiu szuka pokryjomu
Wróżb na dzień zeszły... Zaś dłonie obiedwie,
Choć nieruchome zadumy drzemotą,
Czują się — niby wyciągnięte w złotą
Dal — w taką złotą, że widną zaledwie
Oczom, — że aż się w oczach dzieją zmory!...

Wieczory moje, minione wieczory!
Gdziem was nie widział? Na łąkach, obłokiem
Kwiecia zbryzganych! I w lasu przestrzałach,
To tu — to ówdzie wyszperanych okiem
Wśród pni, zestawnych w dowolne szpalery...
Na kołach wozu, które senny wałach
Słońcu na pokaz wlecze, — wszystkie cztery
W ruchliwy koral mieniąc pracowicie...
Na stepach, kędy niespodziane drzewo
Tak się przestrzeni narzuca obficie,
Że się niebiosom czarna staje wnęka!...
W stodół szczelinie, zaprószonej plewą, —
W szparach opłotów, gdzie przez wybój sęka
Błękit przecieka potajemną strugą
Kropla po kropli — pokrzywom na liście...
Na stogach siana, co, parząc za długo
Zieleń na słońcu, błękitnieje mgliście...
Wśród wierzb, pokłonnych swych gałęzi zwisem
Nurtom ruczajów... I na wzgórzu łysem,

Rudem od szczawiu rdzy i dziennych spiekot...
Na strzech jedwabiu, co, w bociani klekot
Wsłuchane, w gnuśnej grzybieją tęsknocie...
Na zgromadzonem w skrzętny wieniec złocie
Splotów dziewczęcych — i na srebrze starczem
Jakowejś brody wędrownego dziada!...
W zielonych szybach rozszalałych karczem,
Skąd wrzask pijany, wybuchając, wpada
W pobliski cmentarz, co przekrwawia w ponsy
Krzyże przejrzałe i brzóz nagłe wstrząsy
I swych jarzębin ogniste paciory!...

Wieczory moje, minione wieczory,
Pełne zarazy urojonych sprzyjań
Duszy, na żmudny sen o szczęściu chorej
I zasłuchanej w szmer waszych przemijań
Obłoków skrajem!...
Gdziekolwiek zwidziane —
Wszystkie was wlokę w ślad mojego cienia,
Co źdźbłem błękitu kołacze we ścianę
Chaty, wyśnionej stopom w dniu zmęczenia...
Żadnego nie brak! Wszystkie pamięć złocą,
Jako dłoń skąpca wszystek skarb sygnetów, —
Bom zawiekował duszą w fioletów
Waszych mgławicy, zapodzianej w sobie!
Śmierć mi nie będzie wiekuistą Nocą,
Lecz wiekuistym Wieczorem!... Gdy w grobie
Zdziwię się nagle — bezniebny, beztęczny,

Szparom i trafom bylejakim wdzięczny
Za przypomnienie bylejakich rzeczur,
Kałużysk brudnych lub żabich poziewań, —
Zlećcie się ku mnie — złotsze i zaklętsze —
Na ten ostatni, wiekuisty Wieczór,
Na tę ostatnią dolę zanieśpiewań!
Niech mej mogiły zamieszkałe wnętrze
Rozwidnią wasze, purpurowe zorze!
Niech widny Bogu do snu się ułożę
Na wznak — a skronią ugrzęznę w tym błędzie,
Że śmierci niema, nie było, nie będzie!
Są tylko zajścia zórz za ciemne bory...

Wieczory moje, minione wieczory!...

OCZY W NIEBIOSACH.

Oczy, na zwiady wysłane w głąb oćmy
Nocnego nieba, wspomóżcie się wzajem!

Dwoje nas w mroku, więc wspólnie się złoćmy
Widzeniem światów, dla których powstajem!

Dwoje was w mroku, jak dwoje motyląt,
Co się po barwie poznają w błękicie!
Dwa sny o żaglach, skazane na wyląd
Wspólny w ciemności — mówcie, co widzicie?

Widzimy Czerwiec, zbłąkany wśród cieni,
Rozkwitły w nieba szafirowym skwarze
Bez drzew, bez kwiatów — a śniący w bezmiarze
O jagód leśnych padolnej czerwieni...

Widzimy gwiazdy, jak skrzą się i świecą
Skrytą zielenią, tajemnym szkarłatem
I, upojone swym własnym zaświatem

Pomimowoli wiążą się i klecą
W girlandy, w wieńce (rzucone w obczyznę
Mroków) — i w krzewy zwikłane i dalej
W zawiłe gąszcze niedosiężnych alej,
Kędy, srebrząca swych lotów krzywiznę,
Wzbija się sennie dróg mlecznych kurzawa
I, z niespodzianą spotkawszy się chmurą,
Skłębia swe pyły, na chwilę przystawa
W cieniu — i znowu w dal pędzi, za którą
Mży nieskończoność złota i cienista,
Gdzie duch z tchem, w piersi zapartym, korzysta
Z ożywczych pogód ciszy bezupalnej,
Aby istnieniu, co szumi swe szumy,
Przydać tęsknoty i zgrozy oddalnej
I gwiazd naprószyć do ciemnej zadumy...

O, tak! rozszerzyć, rozbujać swe życie
Z bezkresu — w bezkres, od szczytu — do szczytu!
Płaczem ogarnąć tę wszystkość błękitu,
I tuż przy chmurze swego serca bicie
Słyszeć — i sercem o ziemię zahaczyć,
Spłoszyć się nagle — i nagle zobaczyć
Wenus, płonącą — sobie i nikomu
Światłem, co w ździeble tai czar ogromu!...
O, tak!... I ujrzeć tam, gdzie duchom — droga,
Na gwiazd siedmiorgu Wielkiej Niedźwiedzicy
Siedem królewien, śpiących w tajemnicy,
Zanim je zbudzi pocałunek Boga!...

O, tak!... A jeszcze?... Zgorzałych snów dymy
I pustych źrenic bezpromienna skrucha...
My — oczy twoje — widzimy, widzimy
Wszystko, co w niebie pożarem wybucha!
Ale nam przestwór urąga i szydzi
Tych gwiazd migotem i mroków udręką,
Że nas — widzących — nikt zowąd nie widzi
I nie dosięga miłością, ni męką!
Myśmy powstały, by chłonąć te światy
I wlec się ku nim bezdrożem a drogą,
Lecz nikt nam, w mroku wyrosłym, jak kwiaty,
Nie przeciwpowstał — i niema nikogo!
I nikt na zwiady w głąb naszą daleką
Nie wyśle strzały, ni pary gołębi!...
Zasłoń nas, zasłoń znużoną powieką,
Nie daj nam patrzeć, władco naszej głębi!

Oczy, na zwiady wysłane w gwiazd roje,
Pochodnie, zgasłe nad marzeń ruczajem, —
Oto was zwolna zamykam — sny moje! —
Oczy zamknięte, wspomóżcie się wzajem!...

NIEZNANA PODRÓŻ SINDBADA-ŻEGLARZA

I.

...Że mi się dziewczę upatrzone wzbrania,
Nieobecnością ciała w mem objęciu
Pustosząc ducha, co w nic się rozdzwania, —

Więc ja naprzekór sobie i dziewczęciu
Tej się nieznanej podjąłem podróży,
By wlec swe głody po morzach dziesięciu!

Lecz i mórz dziesięć, zaprawdę, nie znuży
Tego, co zaznał pragnienia pieszczoty,
Na którą nawet nie upadł cień róży.

Ale najgorzej, gdy właśnie zmierzch złoty,
W oczach twych dziewczę zastawszy, — powoli
W sen je rozemgli dla drwiny lub psoty...

W sen tem pewniejszy, że nawet nie boli,
A w bezbolesność patrzysz, jak w przynętę
Dla swej niemocy i swojej niedoli.

Lecz dokąd skrzydeł skierujesz zniechętę
Bez tej, co ziemię odarła ci z cudów?
Czem są twe wargi — jej wargą nie tknięte?...

Czem dłonie, które nie zaznały trudów
Przy piersiach, śpiewnych westchnienia hałasem?
Marniejąc, więdną w tej próżnicy nudów!...

A gdy je spleciesz — to tylko tymczasem,
A gdy rozpleciesz — to tylko tak sobie, —
Głaszcząc ich szorstkość wspomnienia atłasem...

Ale ich przed się nie ściągniesz w tej dobie,
By zrywać kwiaty lub zgarniać słońc złoto:
Na wszystko czasu zbraknie ci w żałobie!...

Z piersią dziewczyny zmódz się chciałeś po to,
Aby wykrzesać śpiew z duszy na usta,
Lecz niewzajemność zwarła je niemotą!

O, jakże zdradna i krwawa i pusta
Jest baśń, co tęczą przesłania grzech straty!
Na skroń skazańca narzucona chusta...

Choćbyś piękniejszą dziewczynę przez kwiaty
Innych ogrodów wypatrzył w podróży, —
Cóż ci z jej piękna, ty — bólu skrzydlaty?

Czar, dobrze znany, już się nie powtórzy...
A inny? — Nie chcesz innego w tej głuszy
Odczarowanej, co słońcem się mruży!

Już żadna w tobie nie wskrzesi tej duszy,
Którąś miał, patrząc w źrenice, gdzie pała
Twój los, nim ciebie w jęk i w pył pokruszy!

A wszakci dusza w szczęściu się stawała
Podobną ślepo do głosu jej brzmienia,
Do warg purpury, do zapachu ciała!

Naśladująca we śnie poruszenia
Jej ukochanej za wszystko postaci,
Brała z niej — powab, chrzest brała imienia!

Brała, nie wiedząc, że nagle utraci
Wszystko, co wzięła, nim jeszcze posiadła —
Że za wyznanie — tym skarbem zapłaci!...

A gdy pojęła ten mus — to pobladła,
Czując wstyd nędzy i próżnię i ciemność,
Jak odwrócone do muru zwierciadła!...

To jedno było jej żądzą: wzajemność, —
Reszta — wygnaniem w przerażeń samotę,
Po za kres ziemi, lub kędyś w podziemność!

Ku życiu wieko rozchyliła złote, —
Dziś — trumna, której skarb ciała odjęto,
Zwraca wieczności — pustkę i ciemnotę!...

A jakże długo czekała na święto
Nagłych zrozumień, by ująć w ład ścisły
Słów określonych — dolę rozpierzchniętą!

Jeśli te słowa w noc twoją rozbłysły,
To wiedz, że śledzę twe noce i dni twe,
I że miłosne nie mylą domysły!

I ciebie życie gna w jakąś tam bitwę...
Jam chciał cię unieść ku niebu rąk mocą,
Jak nagą, z włosem rozwianym modlitwę!

Dziś — nie mam czem się pomodlić, ni o co...
A zasię Bogu cóż po takich dłoniach,
Które się w znoju i w grzechu nie spocą?

Więc wciąż uboczem a wciąż po ustroniach
Płyń, zbiegu życia, co poszło w lamenty!
Płyń, póki jeszcze krew śpiewa we skroniach!

I wypłynąłem na morskie odmęty...

II.

Okręt mój starszy od modrej wód chwały!
Wnątrz jego szumi snem dębów tysiąca,
Co niegdyś żywcem po borach szumiały.

Lecz mu starością tak pamięć się zmąca,
Że nie pamięta tej borów tęsknoty,
Co dęby z lądu w otchłanie mórz strąca.

Przerósł on życia własnego kres złoty
I swym nadmiarem już grąży się w Bogu,
Na ziemi mało mając do roboty...

Płyniesz w nim, jako w ruchomym barłogu,
Gdzie wszystko drzemie, prócz skargi twej głuchej,
Rozpanoszonej na morza rozłogu.

Słońce, nabrzmiałe od skier zawieruchy,
Złotym wąwozem po fali się dłuży,
A fala szczerbi wąwozu szlak kruchy...

I, zaczerpnąwszy zeń świateł do kruży
Swoich błękitów, wychyla w odmęcie
Tę kruż, co pianą po brzegach się burzy.

Gdziekolwiek spojrzę — tam lądów zniknięcie,
I, zda się, otchłań, spodem zaczajona,
Widzi, że płynę i w jakim okręcie...

Widzi tak właśnie, jak ta woda słona,
Co swe szmaragdy miażdżąc w słońc ukropie,
Spienionem ślepiem chce odbić skał łona!

Więc tak widziany — płynąłem po tropie
Fal, nasłuchując ich szumu, że ginie,
Niby szum w nagle rozwiązanym snopie.

Nie odróżniałem już w owej godzinie
Czasu od fali, co świateł rozpyłem
Znaczy swój pobyt i zanik w głębinie.

I zdało mi się, że niegdyś sam byłem
Brzegiem, zniknionym w bezkresów przeźroczu,
A od którego swój okręt odbiłem...

I że sam siebie straciłem już z oczu,
Stając się coraz to bardziej bezbrzeżny
W rozłące z sobą i w swem podobłoczu...

I coraz bardziej sobie niedostrzeżny,
Przydany falom ku ich przemijaniu
Wśród pian dokoła zieloności śnieżnej.

I wtedym ujrzał w mórz rozkołysaniu
Wyspę, skupioną w zadumy spowiciu
I w nieustannem nad głębiami trwaniu.

A spoczywała na własnem odbiciu,
Jak na obrzmiałym zielenią cokole,
Co widniał wszystek w podwodnem ukryciu.

Czem ona w górze — tem on był na dole:
W tych samych kwiatach tych samych owadów —
Lecz nieco inne — bo wodne swawole...

Wzloty ich były podobne do spadów
Usilnych w głębie, gdzie fali turkusem
Wezbrała bezdeń wywróconych sadów.

Ptak, w nich dojrzany, szedł skrzydeł przymusem
Na dno — skroś liście... Zaś woda przez szpary
Tych liści biegła niepochwytnym kłusem.

Ledwo ją mogłeś rozpoznać po szarej
Przezroczy: tak ją wypełniły szczelnie
Kwiatów, motyli i liści nadmiary.

Z okrętem moim płynąc niepodzielnie,
Brnąłem w tych dziwów i snów grzęzawicę,
Oczarowany strasznie i śmiertelnie!...

Tam zarzuciłem w szmer wody kotwicę,
Co się grążyła kolejno w ziół sploty
I właśnie w złotą kędyś motylicę...

A ta — zmącona — rozchwiała swe loty
I znikła w bruzdach, jak gdyby tam — w toni
W nic się rozwiązał nagle supeł złoty...

I, gdym wyskoczył na brzeg, — jeszczem o niej
Coś śnił, z radości zaciśnięte pięście
Właczając w kwiaty i węsząc jad woni!

Gdzieś — na dnie duszy zaczajone szczęście —
Wybiegło ze mnie na słońce, na kwiaty,
By trwać w pszczół brzęku i łątek pochrzęście!

I biegłem dalej, wiedząc, żem pstrokaty
Od słońca, które zbryzgało mi złotem
Oczy i włosy, i wargi i szaty!

Że ptakom zdam się zaledwo migotem
Światła w zieleni!... Zjawieniec słoneczny,
Co się sam sobie złoci mimolotem!

W pierś mię uderzył szum lasów odwieczny
I okrzyk ptaków, uwięzły w gęstwinie,
Zapamiętały, zdyszany, serdeczny!

Gdy, biegnącemu w świateł gmatwaninie,
Już się pół nieba nagromadzi w oku,
To mu z tych oczu cała ziemia zginie!...

I mnie zginęła, że — gotów do skoku —
Stanąłem, dłonią szukając tej dali,
W którą mam teraz biedz z cieniem u boku.

Aż tu — na długość dwóch sznurów korali,
Albo na miarę dwojga moich cieni —
Przede mną chata, jak dziw się zuchwali...

A z tak przezroczych ciosana kamieni,
Żeś widział wnętrza nietajoną wzbronność
I sprzęt wszelaki w świetlicy i w sieni.

Z sieni — w przejrzystą świetlicy ustronność
Szła oto właśnie w najdalsze zakąty
Dziewczyna, w marzeń wpatrzona dozgonność.

Za siódmą górę — chyba w kraj dziesiąty
Patrzyła, ręce nieznośne za szyją
Wiążąc wygodnie w dwa białe trójkąty...

I w tył warkoczem wstrząsnęła, jak żmiją.
Jam ją tak z mego oglądał ubocza:
Nagą — idącą prosto w sen — niczyją...

Ledwo nas ściana dzieliła przezrocza,
I hen — w upale jakaś dal tajała,
Kroplami złota ściekając w krzów zmrocza.

I pomyślałem: niech spojrzy!... Spojrzała...
A, zaniedbawszy rozwiązania dłoni, —
Płonęła przeciw i nieruchomiała...

Tak my patrzyli — każde z swej ustroni —
Czując, jak czas nam pod rzęsą wstrzymany,
Bez tchu przemija i sam siebie trwoni...

Było nam w oczach, jakby dwa orkany
Zemdlały w ciszę, podobną zieleni
Dwu łąk, na które dwa spadły tumany!

I gdyśmy jeszcze byli tak wpatrzeni,
Szepnąłem: »Chato upojna, jak wino!
I ty — świetlico! I ty — moja sieni!

Tyżeś to przyszła, wiosenna godzino
Miłosnych przygód i pierwszej rozmowy
Z nieznaną jeszcze dotychczas dziewczyną?

Tyżeś mię zdybał, zawrocie mej głowy?
Kto od pierwszego nie szalał wejrzenia —
Ten nie zna szału i sen ma jałowy!

Bądź pochwalona przez wszystkie westchnienia
Ściano przezrocza za to, żeś przede mną
Nie utaiła nawet stóp jej cienia!

Bądź pochwalona ziemio za tę ziemną
Moc, która słońcu narzuca swe kwiaty!
Wyjdzi, dziewczyno, na rozkosz wzajemną!

Wyjdzi z marzenia, z omdlenia i z chaty!...«
I wyszła, pustkę czyniąc we świetlicy,
I zawołała szeptem, jak w zaświaty:

— »Patrz na mnie i pozbawiaj tajemnicy!
Bo zdawna pragnę wszystką męką ciała
Odbić się w czyjejś szerokiej źrenicy!

Dlategom taką chatę zbudowała,
Ażebym widna była w mej niemocy
Gwiazdom i słońcu! Wszystkiemu, co pała!...

Widział mnie sen mój własny, sen sierocy,
I widział motyl i bąk pełen znoju,
Jak mię samotność utrudza po nocy!

Bezczynna — w chaty przezroczej postoju
Nieustannością wonnego istnienia
Poiłam ducha, bo pragnął napoju.

Czy i ty także doznajesz pragnienia?
Patrz we mnie — w piersi i w duszę i w lice, —
I stóp różowość uważ odniechcenia!...

A jam rzekł, patrząc w moją samotnicę:
— »Skąd twa ze światem na wyspie rozłąka?
Gdzie twa ojczyzna? Kto twoi rodzice?«

— »Rodzice?... Słuchaj: w pamięci się błąka
Ni to twarz słońca... ni to żar zbyteczny...
I po raz pierwszy ujrzana gdzieś łąka...«

Więc zrozumiałem, że ją traf słoneczny
Stworzył i ciała białośnieżną ciszę
Rozśpiewał nagle w purpury zgiełk wieczny —

I rozkołysał w znój — i wciąż kołysze...
A gdym w nią patrzał — tak znojną bezkreśnie,
Myślałem, że z patrzenia zaniedyszę!

A ona rzekła: »Przemijam boleśnie:
Śnią mi się nocą ognie i szkarłaty,
Barw ostateczność przeraża mię we śnie!...

Dzień bywa jeno we kwiaty bogaty,
A że prócz kwiecia — nikogo wokoło,
Więc do zmęczenia zrywałam te kwiaty!«

Mówiła jeszcze, że nieraz na czoło
Kładła dłoń własną tak zwinnym odruchem,
Jak czyjąś obcą — zdradziecko wesołą...

A raz — niedawno — że stała się duchem
I, jak w głąb sadu, poszła w niewidzialność,
Szumiącą kędyś — nad urwiskiem głuchem...

Pytała jeszcze, czy wierzę w upalność
Słońca — w ogrody, widziane przelotem,
Od których w oczach mży sama oddalność...

A jam jej mówił o wszystkiem i o tem,
Jak ducha w morzach nie mogłem pomieścić,
Ani utwierdzić pod gwiezdnym namiotem —

Ani po kwiatach w ciszę rozszeleścić!
I o dziewczynie, co tak nie umiała
Ni łkać, ni pragnąć, ni kochać, ni pieścić —

Ni snem się w niebo zamierzyć, jak strzała,
Ani wysłuchać modlitwy, szeptanej
Przez własną duszę do własnego ciała...

I gdym to mówił, wspomnieniem zdyszany,
Ona te słowa w rozszerzone oczy
Brała, jak w głębie cienistej altany.

I odgarniała natrętnych warkoczy,
Ażeby przydać uwagi żałobie
Swego słuchania — boleśnie ochoczej.

I rzekła, dłonie załamując obie:
— »Czy tamtą mogę tem zwalczyć, że jestem?...
Tem tylko jednem, że jestem przy tobie?«

A wymówiła to niemal szelestem
Warg, którym własne bruździły korale,
I niemal głosu już echem dwudziestem...

— »Tamta — szepnąłem — nie godna jest wcale
Trwogi słów twoich! I gdyby tak można
Myślą śmierć zadać pomimo oddale...«

— »Zabijmy! — rzekła nagła, nieostrożna —
Myślą zabijmy! Niech z czarów jej życia
Nie pozostanie nawet mgła rozdrożna!«

I wyrzuciła z warkoczów ukrycia
Dłonie, iak z nagle rozdwojonej szaty,
I wyciągnęła usta, jak do picia...

Wszystkie nam naraz zaszumiały kwiaty.

III.

Im się uważniej przyglądam dziewczynie
Od wschodu słońca, aż do gwiazd pokazu,
Tem senniej dusza w domysłach mi ginie.

Spytany nawet z błębitów rozkazu
O barwę oczu i współbarwę włosa,
Nicbym nie umiał powiedzieć odrazu.

Bo o poranku, skoro świt i rosa,
Na piersi mojej z uśmiechem omdlewa
Błękitnooka i złocistowłosa.

Lecz kiedy wieczór mrokami obrzmiewa, —
Ciemnieją włosy, zmierzchają źrenice
I kruczym splotem nęci czarnobrewa...

Próżno pieszczotą badam tajemnicę,
Wargami pijąc rozkosz tej przemiany,
Co w jednej — dwie mi daruje siostrzyce.

Jak gdybyś rozlał sen jeden w dwa dzbany
I jagód przydał dla samej czerwieni
I dla wonności, ku słońcu wywianej!

Gdy myślę o tem — to w oczach się mieni,
A dusza cudów nasłuchuje czujnie,
Bo kochać tylko umieją — zdziwieni!...

Zaprawdę — byłem kochany podwójnie:
Inaczej zrana i zmierzchem inaczej,
Dwóm snom odmiennym dając ramion spójnię!

I w niezrozumień upojnej rozpaczy
Zaprzepaszczałem w dziwach tego ciała
Zmyślnego ducha niepokój tułaczy,

Wobec tych kwiatów, gdzie rosa mży biała,
Wobec księżyca, co wzdyma się złotem —
Nieraz w objęciach moich — wieczorniała...

Wieczorniejącą — spytałem przelotem
Szeptów, zdyszanych podziwem rozkoszy,
Czy wie, że inna?... Nie wiedziała o tem...

Ale w niewiedzy, napozór macoszej,
Czuła, że coś w niej na wieczór się zmienia,
Coś się przebarwia — i czai — i płoszy...

Czuła przeróżność wonnego istnienia
I wszechmożliwość i wszechniespodzianość
I uśmiechnięty czar niezrozumienia...

I tajemnicy znojność i różaność,
I Boga czuła, niby dąb szumiący,
Pod którym ciała spoczywa pijaność!

A, zrozumiawszy, że sama — niechcący —
Jest między dziwy wliczona i róże,
Wyszła z mych objęć w świat, zmrokiem gorący —

I na poblizkie wszarpnęła się wzgórze
I tam — w księżyca wielkiem posrebrzysku
Stanęła — czerniejąca na lazurze!

— »Chce mi się pląsać tu właśnie — w rozbłysku,
By zbadać pląsów zadumą przekorną,
Czem byłam w chaty przezroczej schronisku?

Rankiem — zaranną, wieczorem — wieczorną,
Wobec bezkresów, jest one — bezkreśną,
A wobec jezior, jak one — jeziorną...

W polu mi — polno, a w lesie mi — leśno,
Dość mi wbiedz w gęstwę,
by stać się tam drzewną
Zmorą, dębowi jakiemuś rówieśną!...

Chcę nagłą wiedzę o sobie, snem śpiewną,
I już od dzisiaj w duszy nieustanną
Głosić ze wzgórza w tę ciszę rozwiewną!

Chce mi się w śnieżność księżyca wbiedz sanną
Wzwyż rozszalałą, nim szepniesz ust skrajem
Czy mnie wieczorną wolisz, czy zaranną?...

A choć obydwie zazdrosne nawzajem,
Obydwóm przysiąż zarówność kochania,
Bo my ci obie grzech wszystek oddajem!

Przysiąż, że nigdy z mych piersi posłania
Nie zdźwigniesz ducha, by ująć mu trudu
Wiekuistego nad szczęściem czuwania!

Że będziesz — wzorem złotego gwiazd ludu
Śnił bezrozłąkę swej duszy z błękitem,
Choćby ją uląkł snu nadmiar i cudu!

Że nie zawołasz wspomnieniem ukrytem
Dziewczyny tamtej, dziewczyny zwyczajnej
Przy mnie, co jestem dwóch w jednej rozkwitem!

Że w pieśni leśnej i w pieśni ruczajnej
Będziesz wyznawał odtąd mimowolność
Serca, chciwego swobody rozstajnej!

Przysiąż na bogów do śmierci niezdolność,
Że mi nie zbiegniesz hen — w niemiłowanie,
W głuchą bezleśność i w nudną bezpolność!...«

— »Przysięgam tobie, że w żadne rozstanie
Nie ujdę duchem z twojego objęcia, —
Gdzie miłość moja — tam moje otchłanie!

I będę chłonął czar twego zaklęcia,
Bezrozum szczęścia i zamrocz pieszczoty
Długo — bez przerwy — aż do wniebowzięcia!

Aż bóg nade mną, niby wiszar złoty,
Szumiąc w bezmiarach bujnością potęgi,
Stłumi pląs serca i głowy zawroty!«

I jeszcze pełen dreszczu i przysięgi —
Biegłem ku wzgórzu, jak fala do brzegu,
Srebrnem bezdrożem księżycowej wstęgi.

Czekała na mnie — na szał mego biegu,
Nucąc i piersią i kibicią całą
Od stóp do głowy — pieśń bez słów szeregu...

Jak gdyby tańcem zakłócone ciało,
Że mu ciężyła słów żmudna osłona,
Samym słów brakiem — swą nagość śpiewało!...

Tak śpiewającą — porwałem w ramiona
I w znak przegiąłem — jeszcze śpiewającą —
Czując jak w niej — przegiętej — śpiew ten kona...

I jak od tego skonu — sny się mącą...

IV.

Czym się spodziewał, czylim to przeczuwał,
Że tęsknotami powrócę w te światy,
Gdzie się szał dawny tumanem osnuwał?

Choćbyś piękniejszą dziewczynę przez kwiaty
Innych ogrodów wypatrzył w podróży —
Cóż ci z jej piękna, ty — bólu skrzydlaty?

Czar, dobrze znany, już się nie powtórzy, —
A inny? Nie chcesz innego! Chcesz właśnie
Tych samych dreszczów i tej samej burzy!

Ja — Sindbad, żeglarz — zabłąkany w baśnie,
Gdzie mgła naokół wspomnieniem wysnówna,
Mam ducha, który bez błysku — nie gaśnie!

A w miłowaniu — nikt mi nie dorówna,
Chyba, że serce zbezwładni tęsknota,
Córka księżyca — blada Księżycówna!...

Umiem ja różą naznaczyć te wrota,
Które w noc trzeba pukaniem zakłócić,
By się rozwarły na jasność żywota.

Umiem miłości ów przepych przywrócić,
By ci się stała, jako śmierć, jedyna —
Umiem się dąsać, weselić i smucić —

I kazać komuś, co mnie nie wspomina,
By wielkim cieniem legł na mojej duszy,
Jak na słonecznym zegarze — godzina!

Z tym cieniem w drzewnej zapodziany głuszy,
Czułem, jak za mną tęsknota w ślad kroczy,
Żem do rąk mógł ją brać, jak kij pastuszy.

Wówczas mnie dziewczę pytaniem zaskoczy:
— »Czemu, gdy pytam, czuję się zuchwała?...
Czemu natrętna, gdy patrzę ci w oczy?...

Czemu mnie pieścisz nie tak, jakom chciała, —
Jakby się twoje oduczyły dłonie
Pochłaniać ślepo kształt mojego ciała?

Choć ja — w objęciu, choć ja — na twem łonie,
Lecz nie ja — w duszy i tam — pod powieką:
Ty patrzysz w inną, całując me skronie!...

Dreszcz, ze mnie wzięty, na tamtą — daleką
Przenosisz w myśli, jak skradzioną falę,
Która się nagle rozminęła z rzeką!

Czyli przysięgi, szeptane mi w szale,
Dziś przeciwszałem okrutnym radosne,
Jak darowane odbierzesz korale?«

A ja jej na to: »Przysięgi miłosne
Mogą i muszą i chcą być złamane!
I cóż, że wiosna przysięga na wiosnę?

I cóż, że harfa na struny harfiane
Przysięga wierność jednemu śpiewowi?
Zemszczą się kiedyś te — niewyśpiewane!

Nie jedną zorzą niebo się różowi!
A dusza, niby ta zieloność drzewna,
Od złotych żuków roi się i mrowi...«

Na to dziewczyna odpowie mi gniewna:
— »Dałam twym żukom do syta napoju:
Dwoistość czaru, ja — baśni królewna.

Dałam sen różny w mych piersi rozdwoju:
Oczy z chmur czerni i oczy z błękitu,
Włos hebanowy i złoty od znoju.

Dałam ci zmienną przerzutność zachwytu
Z hebanu w złoto, z ciemności w purpurę,
Z tajemnic nocy — w oczywistość świtu!

Po spadłej rosie rozpoznajże chmurę,
Z którejś brał w usta napoje wciąż nowe,
Wiedząc, że sycą, a nie wiedząc — które...

Lecz dziś?... O, gdybyś mieczem rozciął głowę,
Gdzie wre to, czem się kiedyś w śmierci zdrzemnę,
I zajrzał nagle w mroki rubinowe —

Tobyś wyśledził morderstwo nikczemne,
Co się tam wiecznie po ciemku odbywa,
I krwawych poszlak ślady potajemne!

Tyś mi poszepnął tę myśl! Ja — zgadliwa —
Jak oswojoną wzięłam ją gadzinę,
A myśl ta parzy, jak złota pokrzywa!

Tak! w myśli — tamtą zabijam dziewczynę!
Nieraz mi głowę kołysząc w swej dłoni,
Kołyszesz razem i jej zwłoki sine...

Choć upojona od rosy i woni —
Przekleństwem krwawem potrafię ja jeszcze
Dosięgnąć tamtej, co twarz ci snem płoni.

I jej śmierć tobie wesoło obwieszczę,
Jak rozśpiewana jej zgonem mogiła!
A słów nie będzie, będą tylko — dreszcze...

Będzie pląs ciała, któremu ulżyła
Ta nieobecność nagła w całym świecie
Drugiego ciała!...«
I gdy tak mówiła,

Wspomniałem, nie chcąc, że sam już... raz... przecie,
Czując w niej taki pląs bez wysłowienia,
Biegłem — znęcony — przez świateł zamiecie...

Że myśli nasze hen — w krainie cienia
Już się spotkały — jawne i namiętne,
Bom śmierci owej też pragnął — bez chcenia...

I mnieby także ulżyło doszczętne
Zniknięcie w świata całego bezmiarach
Tamtego ciała, co było niechętne!

Niechęć ta za mną szła po wyspy jarach,
Jak pies, co w oczy zaglądając pana,
Wyje na księżyc, odbity w ich szparach.

Cóż mi zostało? Pył złoty — mdła piana!
I owo wiecznie zdyszane wspomnienie —
I w szkarłat własny zapatrzona rana!

I słów zdziwionych nagłe zniechęcenie,
Gdy, zamiast łączyć w śpiew różnic przewinę,
Bezśpiewne w otchłań spadają, jak cienie...

A gdy te cienie przynęcą dziewczynę,
Wnet ją otoczy i smutek i złuda,
Niosąc jej nagłą śmierci bezprzyczynę.

Bo komu pierwsza miłość się nie uda,
Goniąc za inną — zemsty nie pokona
I depcze w drodze napotkane cuda.

A kogokolwiek pochwyci w ramiona,
Tego pchnie, pieszcząc, na własną pochyłość, —
I nikt nie zgadnie, że winna wciąż — ona...

I nikt nie zgadnie, jakich żądz zawiłość
Chce snem rozstrzygnąć na piersi dziewczęcej,
Co w pocałunkach widzi tylko — miłość.

Im pieści znojniej, im chciwiej, im więcej,
Tem ci żarliwsze skarg jego płomienie,
Tem odechciewa pewniej i goręcej!

I tem ci większe ramion znieczulenie,
I tego ciała dąs od stóp do głowy,
I gniew pieszczoty i ust roztargnienie...

Szept mej dziewczyny i zamęt różowy
Warg, moim wargom co chwila wzajemnych,
Znienawidziłem na wyspie w dzień owy.

Bom czuł, że w snach jej pokątnych i ciemnych
Conocnej zbrodni dojrzewają zwłoki,
Niby owoce ogrodów podziemnych.

Ssąc tych owoców jadowite soki,
Szedłem w kraj, zgrozą swych ponęt bezszumny,
W niemiłowania cieniste zatoki...

A jużem blady był i bezrozumny,
Rozradowany czarną w oczach zmorą,
Niby śmierć, której przyśniły się trumny!

Niemiłowanie swą źrenicą chorą
Nie mniej pięknego pożąda dziewczęcia,
Jak te, do których i miłość jest skorą.

Chce ująć pieszczot, chce ująć zaklęcia
Nie bylejakich ust znojnym koralom,
By zwiększyć rozkosz owego ujęcia...

I tak przydaje przepychu swym żalom,
Cierniami czesząc posłuszne warkocze,
Nie wzbraniające zamętu swym falom.

Swe kły tygrysie, do żeru ochocze,
Lubi ci karmić różami z wyboru —
I długo patrzy w pierś, nim ją zdruzgocze!

W mym duchu, niby w zielonościach boru,
Zmierzch jął się szerzyć — i coś w nim przygasło,
Rzekłbyś: gwiazd kilka w głębi gwiazdozbioru.

Jakby kto hasło zamienił na hasło,
Kryjąc przede mną tę zmianę rozkazu:
Wołałem — echo śmiechem mi odwrzasło.

Czułem powoli, jakby czuciem głazu,
Żem opętany, żem sercem oszalał
Na wyspie owej!... Aż pewnego razu...

Pewnego razu w niebie się dopalał
Dzień i, światłami przebierając w chmurach,
Na tychże światłach w zamierzch się oddalał.

A była jawna drapieżność w purpurach,
Co się pokładły na piętrach obłoków,
Jak krwawe paszcze na zwikłanych górach.

Pomiędzy dwojgiem dzwoniących potoków
Leżała, łokciem skroń dzieląc od ziemi,
A od snu biorąc brzemię złotych oków.

Oddawna wrodzy byliśmy i niemi,
Sen nas nie łączył, jeno gdzieś zapodział
W dwu różnych światach z myślami różnemi.

Czyniąc tajemny z całej ziemi podział
Pomiędzy mojem, a między jej ciałem,
Różne nam łoża w mrok różny przyodział.

Włos jej pod niebem nawpół zwieczorniałem
Jeszcze dniał złotem... Więc źrenic przejrzysty
Błękit pod bielą powiek zgadywałem.

Może w ten błękit, jak w miłosne listy
Zbrodnia się wkradła? I przez sen przelotny
Śniła ot — teraz czyjś sen wiekuisty?

Może spoczynek jej był wciąż robotny
Zmorą, weśnioną pilnie w zwłoki mgławe?
W dłoni mej właśnie nóż błyskał samotny.

Jej warkocz, spadły pół-wężem na trawę,
Zdał się zuchwałem, bujnem przedłużeniem
Ukrytej myśli na kark biały — w jawę.

Zrazu weń chciałem ugodzić brzemieniem
Noża, co zdala — utkwiony w namyśle —
Już go na dwoje przecinał swym cieniem.

A potem chciałem w piersi, co obciśle
Tężyły żywe a ciężkie atłasy,
Ważąc je w ramion czujnem koromyśle.

A potem w skronie, skąd świadomość krasy,
Krwią pulsująca, — winem się rozlewa
W ciemnościach ciała, gdzie drzemią bezczasy...

A gdym się wahał, niby cień, od drzewa
Wichrem zdmuchnięty na brzegi urwiska,
Postrzegłem, że coś we śnie podejrzewa.

Że się jej ostrze nazbyt w rzęsach błyska,
A sen, jak ślepy kret, ryjący w złocie,
Ów błysk ze swego zwęszył kretowiska.

Wtedym nożowi nadał ruchy kocie,
Ażem go ostrzem zaczaił pomiędzy
Oczy, szalejąc w mej krwawej robocie!

Lecz je rozwarła w blask noża i prędzej,
Niżelim pragnął... A one — błękitne —
Wnet pociemniały od przerażeń nędzy!

I po warkoczu złotym niepochwytne
Dreszcze przebiegły — i także pociemniał!
— »O, spójrz — szepnęła — jak ja czarno kwitnę...«

I nic nie rzekła... A mnie wypodziemniał
Ten skrawek ziemi pod stóp mych przemocą, —
I nóż mi wypadł z dłoni i — znikczemniał!

Bo zrozumiałem, że zmierzchłe barw nocą
Jej oczy nigdy już nie zbłękitnieją,
A sploty nigdy już się nie odzłocą!

I że ten wieczór, świateł beznadzieją
Krwawiący chmury, nigdy nie przeminie
Nad snami wyspy, gdzie serca szaleją!

I zrozumiałem, że coś we mnie ginie
I coś umiera, — bo wszak niewiadomo,
Co w nas i w której ma umrzeć godzinie...

Jakiś sen wielki twarzą już znajomą —
Skonał... A straszno zerwać się na nogi
Ze snu takiego nad przepaścią stromą!

Więc, by się wesprzeć snem o jakieś progi,
Wspomniałem nagle dziwnie rzeczywiste
Wonnego siana gdzieś na łąkach stogi...

Cisza się piętrzy wraz z nimi i mgliste
Cienie chmur chodzą po nich bezhałaśnie, —
I już poprzez te stogi pozłociste,

Poprzez te stogi, łąk skoszonych baśnie,
Patrzyłem na nią, wiedząc, że nie wzbroni
Mym oczom takich łąk!... A ona właśnie

Ów nóż podniosła, co wypadł mi z dłoni,
I jęła, niby kołysząc go w śpiewie,
Do ust przykładać, do piersi, do skroni...

I, przykładając, mówiła: »Nikt nie wie,
Co w kim zabija, gdy, jak stopą bosą,
Nagim nań nożem następuje w gniewie.

Tyś zabił we mnie tamtą — złotowłosą,
Co była tobie błękitami gwarna,
Rozmowna słońcem, rozśpiewana rosą.

Lecz pozostała ta druga, ta czarna!
Że uszła tobie i kłom twego noża,
Więc trwa — zbyteczna, smutna i bezkarna.

I już niczyja i nawet nie boża,
Bo i Bóg nie chce nocować w źrenicy,
Gdzie mają nocleg mroki i bezdroża.

Po złotowłosej odlocie siostrzycy
Trwam ja — samotna, ja — com śniła zbrodnie
I krwi purpurę w srebrze błyskawicy!

Dwie różne we mnie płonęły pochodnie, —
Tyś jedną zgasił... Zgaszoną grześć musisz!
Czyżem wiedziała, że ogień tak chłodnie?

Czyżem wiedziała, czem ducha pokusisz,
Gdy, nie kochając, dotkniesz go pieszczotą?
I co w nim zmienisz, podepczesz i zdusisz?

Czyżem wiedziała, że burze mnie zmiotą,
Wspartą oburącz na wyśnionym przęśle
Mostu, wspiętego nad nizin drętwotą?

Czyżem wiedziała, że mi jakieś gęśle
Zdruzgoczesz w duszy i ciśniesz w jezioro,
Co od księżyca wysrebrza się wklęśle?

I że ci czarną objawię się zmorą,
Znaczoną krwawym nienawiści chrzestem
I zbyt śmiertelnie na istnienie chorą?

Dziś mnie kwiat każdy przeraża szelestem,
Bo wiem, że sądzi i widzi mnie inną,
Niźli być mogłam, prócz tej, którą jestem...

Byłam ci Bogu wiadomą i słynną
Z podwójnej mocy, którą we mnie złożył,
I duszę miałam dwojgiem baśni czynną.

Tyś tę jaśniejszą wypłoszył i zmorzył
I bezmiłosnej pieszczoty kradzieżą
O cały błękit pierś moją zubożył!

I już me oczy nie wierzą, nie wierzą
W barw niespodzianość, w możliwość błękitu
I czarnej barwie odtąd przynależą.

Coraz to mniej w nich patrzenia i świtu
I przejrzyścieją, jak umarłych dłonie,
Przez które widać złotawość niebytu...

W śmierci się złocę, niby słońce w klonie,
Bo jestem z rodu, co umiera właśnie,
Gdy po raz pierwszy pomyśli o zgonie!«

Mówiła — a jam widział, jak mi gaśnie
W oczach — i opasałem ją ramieniem,
By wspomódz ciało, nim zcichnie i zaśnie.

Zasnęły najpierw oczy pod rzęs cieniem,
A potem piersi zgodne, jak dwie łanie,
Co się nad jednym wstrzymały strumieniem...

A potem usta poszły na skonanie,
A potem ręce — i nóż wypadł z ręki,
Bo go ściskała wciąż na pożegnanie.

A jam się patrzał w otworzystość męki —
Między warg sińce — i w oczy, tak mocno
Wbite w mrok śmierci, jak dwa nagie sęki!

I w tę konania pracę bezowocną,
Po której palce prostują się zwolna,
Spełniwszy trud swój w godzinę mąk nocną.

I jeszcze śmierci wysiłkiem mozolna —
Już zaciążyła ku ziemi snem ciała,
W którem się tai tęsknota padolna.

Z pomiędzy dwojga strumieni, gdzie spała,
Niosłem ją teraz do przeźroczej chaty,
Ażeby gwiazdom w swej śmierci widniała.

Niosłem przez gąszcze, przez cienie, przez kwiaty
I przez ten wieczór, co światłem majaczył,
Jakby ją dźwigał wraz ze mną — w szkarłaty.

Gdzieś wpobok dąb się od wilgoci paczył
I skrzypiał w sobie lub gałęzi skurczem,
Jeślim o gałąź zwłokami zahaczył.

Gdzieś wpobok — w dziuple,
czy w gnieździe wiewiórczem
Nagły się szelest ozywał i ciszę
Łamał na dwoje w jej skupieniu twórczem...

Gdzieś wpobok czułeś, jak mrok chłodem dysze
W gęstwie, gdzie tylko jeden liść bezwcześnie,
Bo po dziennemu lśni się i kołysze...

A my szli ciągle — oboje, jak we śnie, —
Z jednakim trudem, z jednakim pośpiechem
I nierozłącznie i tak jednocześnie!

I, gdyby ziemia rozległa się echem,
Tobyś rozpoznał czworga stóp odgłosy:
Tak razem szliśmy, senni śmierci grzechem...

Niosłem ją pilnie, jak nocne niebiosy
Niesie nurt rzeki w zwierciadeł pochwycie,
Pełniąc się niemi po brzegów ukosy.

Tak ciągle miałem w oczach jej odbicie,
Wciąż przepełniony aż po ramion brzegi
Ciałem, co ciszą wezbrało obficie...

Wieczór, przesiany poprzez drzew szeregi,
Na twarz jej bladą i na pierś niewzbronną
Kładł złote pasma i szkarłatne piegi.

I taką jeszcze światłami osłonną
I piegowatą — wniosłem do świetlicy,
Gdzie dla niej jednej dość było przestronno.

Tam ją złożyłem, pełną tajemnicy,
Wpodłuż a równo, skrzętnie a ostrożnie,
Jak nad brzegami nieznanej krynicy...

A sam się z wnętrza usunąłem trwożnie,
By z innych światów poglądać ubocza,
Jak w śnie niezłomnym spoczywa wielmożnie.

Ledwo nas ściana dzieliła przezrocza...
Gdym zmarłą okiem rozważał i mierzył,
Postrzegłem nagły niepokój warkocza.

Ten — rósł po śmierci, dłużył się i szerzył,
Spóźniony w zgonie — rozszumiał się cały,
Jakby w swej pani zgon jeszcze nie wierzył.

Na pierś jej wpełzał, na kark spadał biały,
W czarnych kędziorach szept skargi przytłumiał,
Szukał tych dłoni, które go czesały...

Znalazł je wreszcie — i wszystko zrozumiał.
I, węsząc bezwład śmiertelnej drzemoty,
Zwikłał się w sobie i tak zanieszumiał.

Wówczas mu chyba pozgonne zaloty
Kazały zmarłą przystroić w żałobie,
Bo się odzłocił nagle — żywiec złoty!...

Kto mu przywrócił ten dar? Czy sam sobie?
Czy chciał, by zmarła w sen nie byle jaki
Szła po dawnemu, we wszystkiej ozdobie?

A może ona sama skroś orszaki
Cieniów, pośmiertnym skupionych kuligiem,
Złote mi zowąd podawała znaki?...

Abym zapragnął... i ramion podźwigiem
Wspiął ku niej brzemię tych kwiatów i woni,
Tropiąc ją w mroku — miłości pościgiem.

Lecz, gdym się wsłuchał w szmer śmierci koło niej
I echem stóp jej odbrzmiałe zaświaty, —
Już dalszą była, niźli tentent koni!...

Gdym ku niej myśli posyłał we swaty,
By ją po śmierci myślami poślubić,
Tom zląkł się nagle zbyt przeźroczej chaty!...

I w myślach duchem począłem się gubić —
Jak kochać zmarłą?... Co zmarłej obiecać?...
I czem nasycić? I jak przyhołubić?...

A już się począł wiatr po jarach wzniecać
I zmierzch ze światłem prząść w jedną tkaninę,
I chmury czarne ze złotemi sklecać,

I zezem oka spostrzegłem, że sine
Jej stopy — prosto przed się wyciągnięte —
Zdają się jedną wskazywać godzinę...

I że, w tej samej godzinie poczęte,
Myśli me, czarną obleczone szatą,
Biegły w kierunku tych stóp — w ich ponętę!

Więc jąłem nagle uchodzić przed chatą,
Przeświecającą zwłok dziewczęcych bielą,
Niby zbytkowną dla ziemi poświatą.

Biegnąc, słyszałem, jak kwiaty się ścielą
Wichrem po ziemi, — i jak wicher przeczy
Drzewom, co szumem od nieba się dzielą!

Słyszałem potem niby płacz wszechrzeczy
Na wyspie, kędy wśród gąszczów zieleni
Ja tylko jeden miałem kształt człowieczy!

I biegłem, kształt swój unosząc wśród cieni
Wylękłych dębów i brzóz i olszyny,
Bojąc się odbić w zwierciadłach strumieni —

I ujrzeć trafem twarz, pełną przewiny,
Twarz ludzką — obcą i tak niepojętą
Dla wszelkiej, ziemię zdobiącej, rośliny!

Twarz, co pragnęła, by bladość jej zżęto
Sierpem księżyca i zrównano właśnie
Z macierzankami, z piołunem lub z miętą...

Echem w dokolne rozległy się baśnie
Stóp mych od wyspy ku morzu powroty, —
Tam czekał okręt, wpatrzony w fal jaśnie.

Przerósł on życia własnego kres złoty
I już się w Bogu grążył swym nadmiarem,
Na ziemi mało mając do roboty.

Wbiegłem na pokład i ciała ciężarem
Przywarłem duszę do miejsca, aż zbladła
Bez tchu — błękitnym drgająca oparem...

A wonczas, mącąc mórz jasne zwierciadła,
Wyspa się w nagłe rozluźniła cienie
I rozechwiała się w szmer i — przepadła!

Fale się nad nią we ślubne pierścienie
Skędzierzawiły... Gdym zliczył secinę —
Ostatnie po niej zanikło wspomnienie.

A ja, nie wiedząc, gdzie teraz popłynę,
Wichrowi żagiel podałem rozpięty
I na szerokość zmierzyłem głębinę —

I wypłynąłem na morskie odmęty.

V.

Duchu mój, wbiegły w brzask niebieskich kopuł,
Zawadzający skrzydłami z wysoka
O nawał Boga, jak o senny szkopuł!...

Święć się twój pobyt i miłosna zwłoka
Na piersi ziemi, wybuchłej rozkwitem
Pod warg twych musem i pod strażą oka!

Święć się wiosenny twój płacz nad zarytem
W murawach szczęściem, gdy rozśmiane gardło
Łka, zachłyśnięte sercem i błękitem!...

Święć się twój nagły dreszcz nad obumarłą
U stóp twych burzą, po której pogrzebie
Dwoje się oczu dziewczęcych zawarło.

Święć się twój udar słoneczny na niebie,
Gdy — nieprzytomny — zasłaniasz się dłonią
Od blasku śmierci, co oślepił ciebie!

Zwól — niechaj szumią i szemrzą i dzwonią
Chóry niczyich, bezimiennych głosów,
Od których usta przelęknione stronią...

Zwól — niech na żyznym błękicie niebiosów
Obłędna brzoza — wbrew ziemi — wyrośnie,
By coś tam zmącić zielonym snem włosów!...

I niech twe ciało, podane ku wiośnie,
Wicher ci zszarpie, niby płaszcz, ulewą
Twych łez bezwolnych przemokły radośnie!

Czemu tak patrzysz w okrętowe drzewo,
Gdzie przepych lasów oddawna zbezlistniał?
I w wicher patrzysz, bielący się mewą?

Czyliś się nie dość, ty — duchu, naistniał?
Nie dość nachłonął i brzasków i cieni,
Gdzie się nie jeden sen uoczywistniał?

Rozpielgrzymiony po wirach bezdeni
Dokądże dążysz? Jakaż baśń w przestworze
Poprzód twych oczu we mgle się zieleni?

Wściągnij się w sobie, zesłabnij w pokorze,
Na pierwszym lądzie z pierwszym oto płazem
Wij się i czołgaj, wspominając morze!

Klęknijmy kornie przed kwiatem, przed głazem,
We mgłach — na łąkach — u wylotu alej, —
Gdziekolwiek można — tam klęknijmy razem!

I błogosławmy naokół i dalej
Motylom — kwiatom — i ptakom — i pszczołom,—
A ty mi wówczas, błogosławiąc, szalej!

I maluczkością świata się oszołom!
I pobłogosław zjawionym w śnie twarzom,
I ze snu głębi wychylonym czołom —

I zagubionym w sobie wirydarzom,
Gdzie ślady stóp się skradają i łaszą
Do gęstwy, cieniów zostawionej strażom.

I szczęścia widmom, co nęcą i straszą,
I utraconej na zawsze dziewczynie,
Która być mogła — a nie była naszą...

I wszelkiej męce i wszelkiej przewinie,
I wszelkim innym, nieznanym dziewczętom,
Które w nieznanej czekają krainie!

I wszelkim morzom i snom i okrętom!...

SPIS RZECZY:

POD ZNAKIEM POETÓW:

STANISŁAW KORAB BRZOZOWSKI

NIM SERCE UCICHŁO

Broszur. Rb. —.80, w opr. płóciennej Rb. 1.30, w opr. wytwornej Rb. 2.30.

WINCENTY KORAB BRZOZOWSKI

DUSZA MÓWIĄCA

Broszur. Rb. 1.—, w opr. płóciennej Rb. 1.50, w opr. wytwornej Rb. 2.50.

LIRYKA FRANCUSKA. Serya pierwsza

Przekłady BRONISŁAWY OSTROWSKIEJ

Broszur. Rb. 1.—, w opr. płóciennej Rb. 1.50, w opr. wytwornej Rb. 2.50.

BRONISŁAWA OSTROWSKA

CHUSTY OFIARNE

Broszur. Rb. 1.20, w opr. płóciennej Rb. 1.70, w opr. wytwornej Rb. 2.70.

ZYGMUNT KRASIŃSKI

POEZYE WYBRANE

Broszur. Rb. 1.—, w opr. płóciennej Rb. 1.50, w opr. wytwornej Rb. 2.50.

JULIUSZ SŁOWACKI

UTWORY LIRYCZNE

Broszur. Rb. 1.—, w opr. płóciennej Rb. 1.50, w opr. wytwornej Rb. 2.50.

LIRYKA FRANCUSKA. Serya druga

Przekłady BRONISŁAWY OSTROWSKIEJ

Broszur. Rb. 1.—, w opr. płóciennej Rb. 1.50, w opr. wytwornej Rb. 2.50.

J. KASPROWICZ

WYBÓR POEZYI

Broszur. Rb. 1.—, w opr. płóciennej Rb. 1.50, w opr. wytwornej Rb. 2.50.

A. SZCZĘSNY

TO, CO SIĘ STAŁO

Broszur. Rb. —.80, w opr. płóciennej Rb. 1.30, w opr. wytwornej Rb 2.30.

JÓZEF JEDLICZ

NIEZNANEMU BOGU

Broszur. Rb. 1.—, w opr. płóciennej Rb. 1.50, w opr. wytwornej Rb. 2.50.

ZDZISŁAW DĘBICKI

OGLĄDAM SIĘ ZA SIEBIE

Broszur. Rb.—.80, w opr. płóciennej Rb. 1·30, w opr. wytwornej Rb. 2·30.

POLSKA EDYCYA DZIEŁ FRYDERYKA NIETZSCHEGO W WYD. CAŁKOWITEM

[BEZ SKRÓCEŃ]

	Rb. k.
TAKO RZECZE ZARATUSTRA	
Cztery części. Przełożył WACŁAW BERENT	
wydanie ozdobne z portretem Nietzschego — akwafortą oryginalną F. Siedleckiego	3.—
wydanie ozdobne w oprawie	3.50
» *wytworne w 25 numerowanych egzemplarzach*	7.50
» *zwykłe tanie*	1.60
POZA DOBREM I ZŁEM	
przełożył STANISŁAW WYRZYKOWSKI	
wydanie ozdobne	2.—
» » *w oprawie*	2.50
» *wytworne w 10 numerowanych egzemplarzach*	5.—
Z GENEALOGII MORALNOŚCI	
przełożył LEOPOLD STAFF	
wydanie ozdobne	2.—
» » *w oprawie*	2.50
» *wytworne w 10 numerowanych egzemplarzach*	5.—
DYTYRAMBY DYONIZYJSKIE	
przełożył STANISŁAW WYRZYKOWSKI	
wydanie ozdobne	—.60
» » *w oprawie*	1.35
» *wytworne w 10 numerowanych egzemplarzach*	1.10
ZMIERZCH BOŻYSZCZ	
przełożył STANISŁAW WYRZYKOWSKI	
wydanie ozdobne	1.20
» » *w oprawie*	1.70
» *wytworne w 15 numerowanych egzemplarzach*	2.75
WIEDZA RADOSNA	
przełożył LEOPOLD STAFF	
wydanie ozdobne	2.50
» » *w oprawie*	3.—
» *wytworne w 15 numerowanych egzemplarzach*	6.—